

1348.

P I S M A

A D A M A M I C K I E W I C Z A .

—
NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

—
TOM PIERWSZY.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1887.



Ślic
Pisma
1318



SN 21677



821.162.1-1

Welter Dora

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM VIII.

V.1.1

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

1963

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

BALLADY I ROMANSE.

	Strona
Pierwiosnek	3
Romantyczność	5
Świtez	7
Świtezianka	14
Rybka	19
Powrót Taty	23
Kurhanek Maryli	26
Do przyjaciół (posyłając im balladę: To lubię)	30
To lubię	32
Pani Twardowska	36
Tukaj	41
Lilje	49
Dudarz	60
Czaty	66
Ucieczka	68
Trzech Budrysów	73
Renegat	75
Panicz i Dziewczyzna	77
Rękawiczka	80

SONETY.

I. Przypomnienie	85
II. Do Laury	—
III. «Mówię z sobą»	—
IV. «Nie uczona twa postać»	87
V. Widzenie się w gaju	88
VI. «Potępi nas świętoszek»	—
VII. Ranek i wieczór	89
VIII. Z Petrarcki	90
IX. Do Niemna	—
X. Strzelec	91
XI. Błogosławieństwo (z Petrarcki)	92

	Strona
XII. Rezygnacja	92
XIII. «Patrzysz mi w oczy»	93
XIV. «Poezjo! gdzie cudny pędzel»	94
XV. «Pierwszy raz jam niewolnik»	—
XVI. «Luba, ja wzdycham»	95
XVII. Dzieńdobry	96
XVIII. Dobranoc	—
XIX. Dobrywieczór	97
XX. Do D... D... wizyta	98
XXI. Do wizytujących	—
XXII. Pożegnanie	99
XXIII. Danaidy	100
XXIV. Exkuza	101

SONETY KRYMSKIE.

I. Stepy Akermańskie	107
II. Cisza morska	108
III. Żegluga	—
IV. Burza	109
V. Widok gór ze stepów Kozłowa	110
VI. Bageczysaraj	111
VII. Bageczysaraj w nocy	—
VIII. Grób Potockiej	112
IX. Mogiły haremu	113
X. Bajdary	—
XI. Alusztą w dzień	114
XII. Alusztą w nocy	115
XIII. Czatyrdah	—
XIV. Pielgrzym	116
XV. Droga nad przepaścią w Dżehud-kale	117
XVI. Góra Kykyneis	118
XVII. Ruiny zamku w Bałakławie	—
XVIII. Ajudah	119

POWIASTKI I BAJKI.

Popas w Upicie	123
Królewna Lala i król Bobo	<u>127</u>
Golono, strzyżono	131
Pan Baron	134
Dzwon i Dzwonki	139
Pchła i Rabin	—

	Strona
Przyjaciele	140
Zając i Żaba	141
Koza, Kózka i Wilk	142
Król chory i Lisy	143
Lis i Kozieł	144
Trójka koni	145
Tchórz na wyborach	147
Żaby i ich króle	148
Osiół i Pies	150
Chłop i Żmija	152
Pies i Wilk	153
Żona uparta	155

WIERSZE RÓŻNE.

I.

Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Marji	159
Do Marji Żubieńskiej, w dzień przyjęcia Komunii Świętej	160
Aryman i Oromaz	161
Rozum i Wiara	162
Arcy-Mistrz	164
Mędry	165
Rozmowa wieczorna	166
Widzenie	167
Do Bohdana Zaleskiego	170

II.

Oda do Młodości	171
Pieśń Filaretów	174
Toasty	176
Czyn	177
Do Matki Polki	178
Nocleg	180
Reduta Ordona	182
Śmierć pułkownika	186
Pieśń żołnierza	187
Ad Napoleonem III	188

III.

Farys	190
Szanfary	195
Almotenabbi	200

IV.

	Strona
Zima miejska	204
Chór strzelców	206
«Gdybym się zmienił»	208
Żeglarz	209
The meeting of the waters	211
«Precz z moich oczu»	—
Nowy Rok	213
Sen (z Byrona)	214
Euthanazya (naśladowanie z Byrona)	220
Ciemność (z Byrona)	221
Majtek	224
Pożegnanie Child Harolda (z Byrona)	225
Dziewica na rozdrożu	228
Zaloty	230
Dwa słowa	231
«Moja pieszczotka»	232
Rozmowa	—
Sen	233
Do D... D... Elegja	234
Godzina (Elegja)	236
W dzień odjazdu	238
Z Petrarcki	239
Na pokój grecki	241
Przypomnienie (z Puszkina)	244
Podróżny (z Goethego)	—
Morlach w Wenecji (z serbskiego)	250
Do (na Alpach w Splugen)	251
Do H. Wezwanie do Neapolu (naśladowanie z Goethego)	252
Do mego Cicerone w Rzymie	254
«Gdy tu mój trup»	255
«Te rozkwitłe świeżo drzewa»	—
Do samotności	257
«Polwały się lzy me czyste»	—
«Kochanek duchów»	258
«Nad wodą wielką»	—
Objaśnienia	261

BALLADY I ROMANSE.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w OLIWIE
No. 1318.

1 PIERWIOSNEK.

(Primula veris.)

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obłonek:

JA.

Zawczasie kwiatku, zawczasie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światelka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perelka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód — śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku:
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podlej trawce, w dzikim lasku
 Urosłeś, o kwiatku luby!
 Mało wzrostu, mało blasku —
 Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
 Ni zawoje tulipana,
 Ni lilijowe sukienki,
 Ni róży pierś malowana.

Uplatam cię do wianka;
 Lecz skądże ufności tyle!
 Przyjaciele i kochanka
 Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
 Mię, wiosny młodej aniołka;
 Przyjaźń ma blasku nie wiele
 I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek? —
 Powiedz, niebieska Marylko!
 Za pierwszy młodości pączek
 Zyskam pierwszą — ach! łzę tylko. —

2 ROMANTYCZNOŚĆ.

Methinks I see —
 — Where? —
 In my mind's eye.
 SHAKESPEARE.

Słuchaj dziewczeczko!
 — Ona nie słucha —
 To dzień biały! to miasteczko!
 Przy tobie nie ma żywego ducha:
 Co tam w koło siebie chwytasz?
 Kogo wołasz, z kim się witasz?
 — Ona nie słucha. —

To jak martwa opoka
 Nie zwróci w stronę oka!
 To strzela w koło oczyma,
 To się łzami zaleje,
 Coś niby chwyta, coś niby trzyma,
 Rozplacze się i zaśmieje.

«Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!
 Ach! i po śmierci kochal!
 Tutaj, tutaj, pomaleńku!
 Czasem usłyszysz macocha!

«Niech sobie słyszy — już nie ma ciebie!
 Już po twoim pogrzebie!
 Ty już umarłeś? Ach! ja się boję! —
 Czego się boję mego Jasieczka?
 Ach, to on! lica twoje! oczki twoje!
 Twoja biała sukieneczka!

«I sam ty biały jak chustka,
Zimny — jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mię — do ust usta —

«Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.

«Źle mi w złych ludzi tłumie:
Płacę, a oni szydzą;
Mówię — nikt nie rozumie;
Widzę — oni nie widzą!

«Śród dnia przyjdź kiedy. — To może we śnie?
Nie, nie — trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie mój Jasiu!ku!
Jeszcze wcześniej — jeszcze wcześniej!

«Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś! ach! stój Jasiu!ku!
Ja nieszczęśliwa!»

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada?
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

«Mówcie pacierze! — krzyczy prostota —
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota!»

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płacę, i mówię pacierze.
«Słuchaj dziewczeczko! — krzyknie śród zgiełku

Starzec, i na lud zawoła —
 Ufajcie memu oku i szkiełku,
 Nie tu nie widzę do koła.

«Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
 W głupstwa wywarzone kuźni;
 Dziewczyna duby smalone bredzi,
 A gmin rozumowi bluźni.»

«Dziewczyna czuje — odpowiadam skromnie —
 A gawieź wierzy głęboko;
 Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
 Niż mędrca szkiełko i oko.

«Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
 Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
 Nie znasz praw żywych, nie obaczysz cudu!
 (Miej serce i patrzaj w serce!)

ŚWITEŻ.

(Do Michała Wereszczaki.)

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,
 Do Płużyn ciemnego horu
 Wjehawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
 Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
 W wielkiego kształcie obwodu,
 Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
 A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba,
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżycy.

Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułodzi —
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą! —
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar jakoby w mieście:
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żalodne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą —
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
 Były Świtezi dziedzice,
 Z dawna przemyślał i zasięgał rady,
 Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskim robić mieście,
 I wielkie sypał wydatki:
 Związano niewód głęboki stóp dwieście,
 Budują czołna i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkiem dziele,
 Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
 Dano więc na mszę w niejednym kościele,
 I ksiądz przyjechał z Cyryna. x

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
 Przeżegnał, pracę pokropił;
 Pan daje hasło: odbijają baty,
 Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki na dół z sobą spycha,
 Tak przepaść wody głęboka;
 Prężą się liny, niewód idzie z cicha —
 Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
 Ciągną ostatek wężerzy:
 Powiemże jakie złowiono straszidło?
 Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszidło wcale:
 Żywa kobieta w niewodzie!
 Twarz miała jasną, usta jak korale,
 Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży. A gdy jedni z trwogi
 Na miejscu stanęli głazem,
 Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
 Łagodnym rzeczce wyrazem:

«Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

«I ty zuchwały i twoja gromada
Wraz byście poszli w głębinie:
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie —

«Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

«Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

«Świtez, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

«Nie émił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

«Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendóg poddać się musi.

«Nim ściągnął wojsko, z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
«Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
«Spiesz — zwołaj twe towarzysze!»

stolica

«Skoro przeczytał Tuhana list książęcy
I wydał rozkaz do wojny:
Stańto zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

«Uderzą w trąby, rusza młódź — już w bramie
Błyska Tuhana porzecz:
Lecz Tuhana stanie i ręce załamie:
I znowu jedzie na dworzec.

«I mówi do mnie: Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych szanów,
Prócz naszych piersi i mieczy.

«Jeśli rozdzielię szczuple wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córki i żony?»

«Ojczy, odpowiem, lękaż się niewczesnie,
Idź, kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego Anioła.

«Okrażył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotymi piórkami,
I rzekł mi: póki męża za granicą,
Ja bronię żony i córki.

«Usłuchał Tuhana i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczeł i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

«Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

«Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

«Natychemiast wścickłość bierze miejsce strachu;
Miecz bogactwa na stosy,
Przenoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

«Przeklęty będzie, kto się nie dobije! —
Broniłam, lecz próżny opór:
Kłęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

«Gotowa zbrodnia. — Czyli wezwać hordy
I podle przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy? —
Panie! zawołam, nad Pany!

Jeśli nie mozem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

«Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
«Dzień zda się spędzać noc ciemną:
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy —
Już ziemi nie na podemną! —

«Takeśny uszły szańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele do koła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w ziola.

«Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liś ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

«Za życia cuoty niewinnej obrazy,
 Jej barwę mają po zgonie;
 W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
 Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

«Doświadczył tego Car i Ruska zgraja.
 Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
 Ten rwie i szyszak stalony umaja,
 Ten wianki na skronie plecie:

«Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
 Tak straszna jest kwiatów władza,
 Że go natychmiast choroba wyłamie,
 I śmierć gwałtowna ugadza.

«Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
 Pozostał sam odgłos kary,
 Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
 I kwiaty nazywa Cary.» —

To mówiąc, pani zwolna się oddała:
 Topią się statki i sieci,
 Szum słychać w puszczy, poburzona fala
 Z łoskotem na brzegi leci.

Jeziro do dna pękło nakształt rowu,
 Lecz próżno za nią wzrok goni:
 Wpadła i falą nakryła się zrowu,
 I więcej nie słychać o niej.

ŚWITEZIANKA.

Jakiż to chłopiec piękny i młody,
 Jaka to obok dziewczica,
 Brzegami sinej Świtezi wody
 Idą przy świetle księżyca? —

Ona mu z kosza daje maliny,
 A on jej kwiatki do wianka;
 Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny —
 Pewnie to jego kochanka. —

Każdą noc prawie, o jednej porze,
 Pod tym się widzą modrzewiem.
 Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
 Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie —
 Gdzie uszła? nikt jej nie zbada.
 Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
 Jak ogień nocny przepada.

«Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
 Na co nam te tajemnice?
 Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
 Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?»

«Minęło lato, zżółkniały liścia
 I dżdżysta nadchodzi pora:
 Zawsze mam czekać twojego przyjścia
 Na dzikich brzegach jeziora?»

«Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,
 Jak upiór, błędzisz w noc ciemną?
 Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
 Zostań się, o luba, ze mną!»

«Chateczka moja stąd nie daleka
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny.»

«Stój — mu odpowie — hardy mlókosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w męzczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.»

«Więcej się waszej obludy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly;
Możebym prośby przyjęła twoje:
Ale czy będziesz mi stały?»

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku, ?
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżycu blasku —
Lecz czy dochowa przysięgi?

«Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!»

To mówiąc, dziewczka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie,
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykle uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska —
Cisza w około, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałąska.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
 Błędniemi strzela oczyma:
 Wtem wiatr zaszumił po gęstym lesie —
 Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
 O niesłychane zjawiska!
 Po nad srebrzyste Świtezi błonie
 Dziewicza piękność wytryska.

Jej twarz, jak róży bladej zawoje,
 Skropione jutrzzenki łeską;
 Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
 Obwiały postać niebieską.

«Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody.
 — Zanuci czule dziewica —
 Po co w około Świtezi wody
 Błądzisz przy świetle księżycy?»

Po co żałujesz dzikiej wietrznicy,
 Która cię zwabia w te knieje,
 Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
 I może jeszcze się śmieje?»

«Daj się namówić czułym wyrazem:
 Porzuć wzdychania i żale,
 Do mnie tu, do mnie! — tu będziemy razem
 Po wodnym płąsac krysztale.

«Czy zechcesz, niby jaskółka chybka
 Oblicze tylko wód muskać,
 Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
 Cały dzień ze mną się pluskać —

«A na noc w łożu srebrnej topieli,
 Pod namiotami zwierciadeł,
 Na miękkiej wodnych lilijek bieli,
 Śród boskich usnąć widziadeł.»

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie —
 Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
 Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
 I «Do mnie! — woła — pójdź do mnie!»

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
 Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
 To znowu siekąc wodne zatopy,
 Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec — i staje w biegu —
 I chciałby skoczyć — i nie chce;
 Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
 Zlekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
 Tak się w nim serce rozplywa,
 Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
 Ściśnie kochanka wstydliva.

Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
 Przysięgą pogardził świętą,
 Na zguby oślep bieży w głębinie,
 Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
 Niesie go wodne przestworze;
 Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
 Na średnim igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swej ciśnie dłoni,
 W pięknych licach topi oczy,
 Ustami usta różane goni,
 I skoczne okręgi toczy:

Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
 Co ją w ludzającym krył blasku —
 Poznaje strzelec dziewczynę z bliska —
 Ach, to dziewczyna z pod lasku!

«A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!»

«Nie tobie igrać przez srebrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb' jasną:
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

«A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie,
Nie ma czem zgasić gorąca.»

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnymi rzuca oczyma;
A wichur szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwycą,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżycy
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrnem płąsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

RYBKA.

(Ze śpiewu gminnego.)

Od dworu, z pod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewczica:
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka,
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

«O wy! co mieszkanie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie
Głosu zdradzonej kochanki

«Kochałam pana tak szczerze!
On mię przysięgał zaślubić:
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

«Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
Urągać się z mych boleści!

Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię Świtezianki;
Lecz moje dziecię — ach, dziecię!»

To mówiąc rzewnie zapłacze,
 Rączkami oczy zasłoni,
 I z brzegu do wody skacze,
 I w bystrej nurza się toni.

W tem z lasu, gdzie się dwór bieli,
 Tysięczne świecą kagańce,
 Zjeżdżają goście weseli:
 Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
 Płacz dziecięcia słychać w lesie;
 Wierny sługa wyszedł z lasu,
 I dziecię na rękę niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
 Gdzie łoza, gęsto spleciona,
 Wzdłuż wykręconej zatoki
 Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
 Płacze i woła: «Niestety!
 Ach któż da piersi dzieciątku?
 Ach! gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?»

«Tu jestem, w rzece u spodu,
 — Cichy mu głos odpowiada —
 Tutaj drzę cała od chłodu,
 A żwir mi oczki wyjada.

«Przez żwir, przez ostre kamuszki
 Fale mię gwałtowne niosą;
 Pokarm mój koralki, muszki,
 A zapijam zimną rosą.»

Lecz sługa jak na początku,
 Tak wszystko woła: «Niestety!
 Ach któż da piersi dzieciątku?
 Ach gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?»

Wtem się coś z lekka potrąci
 Śród kryształowej przezroczy,
 Woda się z lekka zamąci,
 Rybka nad wodę podskoczy;

I jak skałka, płaskim bokiem,
 Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
 Tak nasza rybka podskokiem
 Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
 Krasne ma po bokach piórka,
 Główka jak napaśtek drobna,
 Oczko drobne jak paciórka.

Wtem rybią łuskę odwinie,
 Spojrzy dziewicy oczyma;
 Z głowy jasny włos wypłynie,
 Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
 Piersi jak jabłuszka mleczne;
 Rybią ma pletwę do pasa,
 Płynie pod chrósty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki
 U łona białego tuli!
 «Luli, wola, mój maleńki,
 Luli mój malcuki, luli.»

Gdy dziecię płakać przestało,
 Zawiesza kosz na gałęzi,
 I znowu ściska swe ciało,
 I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
 Od boków wystoczą skrzelki —
 Pluska: i tylko nad rzeką
 Kipiące pękły bąbelki.

wkrychu
 Tak co wieczora, co ranka,
 Gdy sługa stanie w zakątku,
 Wraz wypływa Świtezianka,
 Żeby dać piersi dzieciątku.

dlaczego
 Za coż jednego wieczora
 Nikt nie przychodzi na smugi?
 Już zwykła przemija pora:
 Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
 Musi zaczekać troszeczkę,
 Bo właśnie teraz pan z żoną
 Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał z daleka,
 Za gęstym usiadłszy krzakiem:
 Lecz próżno czeka i czeka,
 Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
 I patrzył przez palców szparę,
 Ale i dzień już przeminął,
 I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie;
 A gdy noc gwiazdy zapala,
 Zbliża się z lekka ku wodzie
 I śledzi oczyma z dala.

Przebóg, cudy, czy moc piekła?
 Uderza go widok nowy:
 Gdzie pierwiej rzeczulka ciekła,
 Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
 Wala się odzież bez ładu;
 Ani pani, ani pana
 Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
 Sterczał wielki głazu kawał,
 I dziwną kształtu budową
 Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
 Rozpierzchłych myśli nie złowił;
 Przeszła godzina, i druga,
 Nim wreszcie słówko przemówił:

«Krysiu, o Krysiu!» zawoła:
 Echo mu «Krysiu» odpowie;
 Lecz próżno patrzy do koła,
 Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głązy,
 Otrze pot na licu zbladłem,
 I kiwnie głową trzy razy,
 Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
 Śmieje się dzikim uśmiechem,
 I odmawiając pacierze,
 Wraca do domu z pośpiechem.

3 POWRÓT TATY.

«Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
 Za miasto, pod słup, na wzgórek:
 Tam przed cudownym klękniście obrazem,
 Pobożnie zmówcie paciórek.

«Tato nie wraca; ranki i wieczory
 We łzach go czekam i trwodze;
 Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
 I pełno zbójców na drodze.»

Słyszac to dziatki, biegną wszystkie razem
 Za miasto, pod słup, na wzgórek;
 Tam przed cudownym klękają obrazem,
 I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem: w imię Ojca,
 Syna i Ducha świętego,
 Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
 Teraz i czasu wszelkiego.

Potem: Ojcie nasz i Zdrowaś i Wierzę,
 Dziesięcioro i koronki;
 A kiedy całe zmówili pacierze,
 Wyjmą książeczkę z kieszonki:

I litanie do Najświętszej Matki,
 Starszy brat śpiewa, a z bratem
 «Najświętsza Matko, przyspiewują dziatki,
 Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!»

Wtem słyhać turkot. Wozy jadą drogą,
 I wóz znajomy na przedzie;
 Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
 «Tato, ach tato nasz jedzie!»

Obaczył kupiec, łyzy radośne leje,
 Z wozu na ziemię wylata:
 «Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
 Czyście tęskniły do tata?»

«Mama czy zdrowa? ciotunia?. domowi?
 A ot — rodzynki w koszyku —»
 Ten sobie mówi i ten sobie mówi,
 Pełno radości i krzyku.

«Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.»
Idzie — aż zbójcy obkoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie,
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wznosił dłonie:

«Ach! bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziełek,
I młodej małżonki wdową!»

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
«Pieniędzy!» krzyczy, i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: «Stójcie, stójcie!» krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
«Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.»

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
«Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziełek pacierze.

«Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

«Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórk u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

«Dzisiaj nadchodzę, patrzę, między chrusty
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

«Słucham: ojczyście przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki —
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

«Kupcze! jedź w miasto; ja do lasu muszę,
Wy dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórek.»

KURHANEK MARYLI.

(Myśl ze śpiewu litewskiego.)

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek:
W maliny, ciernie i głogi —
Boki ma strojne murawą,

Głowę ukwieconą w kwiaty,
 A na niej czeremchy drzewo,
 A od niej idą trzy drogi:
 Jedna droga na prawo,
 Druga droga do cłaty,
 Trzecia droga na lewo.
 Ja tędy płynę z wiciną,
 Pytam się ciebie dziewczyno,
 Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całej wsi pytaj się, bracie,
 A cała wieś powie tobie:
 Maryła żyła w tej chacie,
 A teraz leży w tym grobie.
 Na prawej stronie te śladki
 Ubite nogą pastuszka;
 To jest drożyna jej matki,
 A stąd przychodzi jej družka,
 Lecz oto błysnął poranek,
 Ukryj się tu za stos łomu,
 Sam ich posłuchasz niedoli,
 Własne twe oczy zobaczą.
 Patrz w prawo — idzie kochanek.
 Patrz, matka idzie z domu.
 Patrz w lewo — przyjaciółka.
 Wszyscy idą powoli
 I niosą ziółka
 I płaczą.

JAŚ.

Marylo! o tej porze!
 Jeszcześmy się nie widzieli,
 Jeszcześmy się nie ścisnęli.
 Marylo! zaszło zorze!
 Tu czeka twój kochanek:
 Czy ty przepałaś ranek,
 Czy na mnie zagniewana?

Ach, Marylo kochana!
 Gdzież ty się dotąd kryjesz?
 Nie, nie przespałaś ranka,
 Nie gniewasz się na Janka:
 Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
 Więzi cię ten kurhanek —
 Nie ujrysz już kochanka,
 Nie ujrzy cię kochanek!
 Dawniej kiedy spać szedłem, tem, słodziłem chwile,
 Że skoro się obudzę, zobaczę Marylę,
 I dawniej spałem mile!
 Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
 Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;
 Może zamknę na wieki! —
 Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
 Chwalili mię sasziedzi,
 Chwalił mię ojciec siwy:
 Teraz się ojciec biedzi,
 A ja nie ludziom, ni Bogu!
 Niech ziarno w polu przepadnie,
 Niech ginie siano ze stogu,
 Niech sąsiad kopy rozkradnie,
 Niech trzodę wyduszą wilki! —
 Nie masz, nie masz Marylki! —
 Swaty nie namówili:
 Nie mogę, nie, nie mogę!
 Wiem ojczy, co uczynię:
 Pójdę w daleką drogę,
 Więcej mię nie znajdziecie
 Choćbyście i szukali.
 Nie będę już na świecie!
 Przystanę do Moskali,
 Żeby mię wraz zabili.
 Nie masz, nie masz Maryli!

MATKA.

Czemuż nie wstałam z rana?
 Już w polu pełno ludzi.

Nie masz cię, nie masz kochana .
 Marylo! któż mię obudzi?!
 Płakałam przez noc całą,
 Zasnęłam kiedy dniało.
 Mój Szymon gdzieś już w polu,
 Wyprzedził on świtania,
 Nie budził mię, mojego litując się bolu,
 Poszedł z kosą bez śniadania;
 Koś ty dzień cały, koś sobie,
 Ja tutaj leżę na grobie.
 Czegoż mam iść do domu?
 Kto nas na obiad zawoła?
 Kto z nami siądzie u stoła?
 Nie masz, ach, nie masz komu!

Pókiśmy mieli ciebie,
 W domu było jak w niebie.
 U nas i wieczorynki,
 Z całej wsi chłopcy, dziewczki,
 Najweselsze zażynki,
 Najhuczniejsze dosiewki,
 Nie masz cię! w domu pustynie!
 Każdy kto idzie, minie.
 Zawiasy rdzawieją w sieni,
 Mchem się dziedziniec zieleni;
 Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
 Nie masz, nie masz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA.

Tutaj bywało z ranku
 Nad wodą sobie stoim,
 Ja o twoim kochanku,
 Ty mi mówisz o moim.
 Już więcej z sobą nie będziem mówili! —
 Nie masz, nie masz Maryli!
 Któż mi zwierzy się szczerze,
 Komuż się ja powierzę?

Ach! gdy z tobą kochanie,
 Smutku i szczęścia nie dzielę;
 Smutek smutkiem zostanie,
 Weselem nie jest wesele! —

* * *

Słyszysz to cudzy człowiek,
 Wzdycha i łzy mu płyną;
 Westchnął, otarł łzy z powiek,
 I dalej poszedł z wiciną.

„ DO PRZYJACIÓŁ. „

Posyłałam im balladę „To lubię.”

Bije raz, dwa, trzy — już północna pora;
 Głuche w około zacisze,
 Wiatr tylko szumi po murach klasztoru,
 I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
 Raz w głębi tłumi ogniska,
 Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
 Błyska, zagasa i błyska.

Straszno! — Nie była straszną ta godzina,
 Gdy były nieba łaskawsze —
 Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
 Precz — to już znikło na zawsze!

Teraz ja szczęścia szukam — ot w tej księdze.
 Księga znudzila, porzucam;
 Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
 To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycanie,
 Kochankę widzę, lub braci;
 Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścianie
 Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i wśród ciszy,
 Gdy się bez ładu myśl płacze,
 Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy;
 Zacznę, bo nie wiem czy skończę.

Może też pamięć o minionej wiosnie
 Zimowy wierszyk umili;
 Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnio,
 O strachach i o Maryli! —

Kto pragnie pędzlem swe rozślawić imię,
 Niech jej maluje portrety;
 Wieszczy w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
 Serca, rozumu zalety.

Choć mi to wszystko w umyśle przytomne,
 Pociechy szukam, nie sławy:
 Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
 Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
 Dzielila skąpo w rachubie:
 Choć jej kto kocham mówił po sto razy,
 Nie rzekła nawet i lubię.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę,
 Kiedy się wszyscy spać kładą,
 Ja, na dobranoc żegnając Marylę,
 Taką straszylem balladą.

TO LUBIĘ.

Spojrzyj, Maryło, gdzie się kończą gaje.
 W prawo łóz gęsty zarostek,
 W lewo się piękna dolina podaje,
 Przodem rzeczulka i mostek.

Tuż stara cerkiew; w niej puszczyk i sowy,
 Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
 A za dzwonicą chróśniak malinowy:
 A w tym chróśniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
 Że o północnej godzinie
 Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
 Miejsce tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
 Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
 W pustej zrąbnicy dzwonią same dzwony,
 W chróstach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
 Czasem grom trzaska po gromie —
 Same się z mogił ruszają pokłady,
 I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
 To znowu głowa bez ciała,
 Roztwiera gębę i wytrzyszcza oczy:
 W gębie i w oczach żar pala.

Albo wilk bieży — pragniesz go odegnać
 Aż orłem skrzydłem wilk macha —
 Dość «zgiń, przepadnij» wyrzec i przeżegnać —
 Wilk zniknie wrzeszcząc: ha, ha, ha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy,
 I każdy musiał kląć drogę:
 Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
 Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż pomnę, nieraz Andrzej stary
 Zaklinał, nieraz przestrzegał:
 Śmiałem się z djabłów, nie wierzyłem w czary,
 Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
 Na moście z końmi wóz staje;
 Próżno woźnica przynagła do biegu,
 Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy!
 Dyszel przy samej pękl szrubie;
 Zostać na polu samemu i w nocy,
 To lubię, rzekłem, to lubię!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
 Wypływa z bliskich wód toni;
 Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
 Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalekniony,
 Włos dębem stanął na głowie;
 Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!
 «Na wieki wieków» odpowie.

«Ktokolwiek jesteś, pocziwy człowieku,
 Coś mię zachował od męki,
 Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
 I pokój tobie i dzięki.

«Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy;
Wkrótce się niebem pochlubię:
Boś ty czyszcowej zbawił mię katuszy
Tem jednym słówkiem: To lubię.

«Dopóki gwiazdy zejda i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.

«Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty.
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, pocziwy, bogaty —

«Za życia pragnął sprawić mi wesele;
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele:
Posag wabił i uroda.

«Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie.
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

«Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę.
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapęły.

«Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze,
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacze.

«Ja pójdę!» mówił ze łzami — «Idź sobie!»
Poszedł — i umarł z miłości —
Tu nad rzeczulką, w tym zielonym grobie,
Złożone jego są kości.

«Odtąd mi życie stało się nielube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgnębę,
Ani czas został pokuty.

«Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty:
Przyleciał Józio, w straszliwej postawie,
Jak potężnieniec ognisty.

«Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębow,
W czyszcowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów,
Takie słyszałam wyroki:

— «Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz, nie na boleści.

«Ty, jakbyś w piersiach miała serce z głazu
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

«Za taką srogość, długie, długie lata,
Dręcz się w czyszcowej zagubie;
Póki mąż jaki z tamecznego świata,
Nie powie na cię choć: lubię.

«Prosił i Józio niegdyś o to słowo
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy:
Proś-że ty teraz — nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.» —

«Rzekł. Mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie:
W dzień męczą; na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie —

«I w cerkwi albo na Józia mogile,
 Niebu i ziemi obrzydła,
 Muszę podróŜnych trwoŜyć w nocne chwile,
 Różne udając straszyla

«Idących w błota zawiodę lub w gaje,
 Jadącym konia uskubię;
 A kaŜdy naklnie, nafuka, nałaje —
 Tyś pierwszy wyrzekł: to lubię.

«Za to ci spadnie wyroków zasłona,
 Przyszłość z pód ciemnych wskaŜę chmur,
 Ach! i ty poznasz Marylę — lecz ona — »
 Wtem, na nieszczęście zapiał kur.

Skinięła tylko, widać radość z oczek,
 Mieni się w parę cieniuchną;
 Ginie — jak ginie bladawy obłoczek,
 Kiedy zefiry nań dmuchną —

Patrzę — aż cały wóz stoi na łąco.
 Siadam, powoli strach mija;
 Proszę zu dusze w czyszczu bolejące,
 Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, hulki pałą,
 Tańce, hulanka, swawola;
 Ledwie karczmy nie rozwałą,
 Ha ha, hi hi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła
 Podparł się w boki jak basza:
 Hulaj dusza! hulaj! woła,
 Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
 Wszystkich łaje i potraça,
 Świsnął szablą koło ucha:
 Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
 Co milczkiem wypróżniał rondel,
 Zadzwoił kioską pomału:
 Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szcutki,
 Do łba przymknął trzy rureczki,
 Cmoknął: cmok — i gdańskiej wódki,
 Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
 Kielich zaświstał, zazgrzytał;
 Patrzy na dno — «Co u licha!
 Po coś tu kumie zawitał?»

Djablik to był w wódce na dnie —
 Istny Niemiec, sztuczka kusa;
 Skłonił się gościom układnie,
 Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
 Pada, rośnie na dwa łokcie,
 Nos jak haczyk, kurzą nogę,
 I krogulcze ma paznokcie.

«A, Twardowski — witam bracie!»
 To mówiąc bieży obcesem:
 «Cóż to? czyliż mię nie znacie?
 Jestem Mefistofelesem!

«Wszak ze mnąs na Łysej-Górze
 Robił o duszę zapisy:
 Cyrograf na byczej skórze
 Podpisałeś ty, i bisy

«Miały słuchać twego rymu;
 Ty, jak dwa lata przebiegą
 Miałeś pojechać do Rzymu,
 By cię tam porwać jak swego.

«Już i siedem lat uciekło,
 Cyrograf nadal nie służy:
 Ty, czarami dręcząc piekło,
 Ani myślisz o podróży.

«Ale zemsta, choć leniwa,
 Nagnała cię w nasze sieci:
 Ta karczma Rzym się nazywa —
 Kładę areszt na Waszeci.»

Twardowski ku drzwiom się kwapił
 Na takie dictum acerbum;
 Djabeł za kontusz ulapił:
 «A gdzie jest nobile verbum?»

Co tu począć? Kusa rada,
 Przyjdzie już nałożyć głowę —
 Twardowski na koncept wpada,
 I zadaje trudność nową.

«Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
 Tam warunki takie stoją:
 Po latach tylu a tyiu,
 Gdy przyjdiesz brać duszę moją --

«Będę miał prawo trzy razy
 Zaprządz cię do roboty,
 A ty najtwardsze rozkazy,
 Musisz spełnić co do joty.

«Patrz, oto jest karczmy godło:
 Koń malowany na płótnie;
 Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
 A koń niech z kopyta utnie.

«Skreć mi przytem biczek z piasku,
 Żebym miał czem konia chłostać;
 I wymuruj gmach w tym lasku,
 Bym miał gdzie na popas zostać

«Gmach będzie z ziarenek orzecha,
 Wysoki pod szczyt Krępaku,
 Z bród żydowskich ma być strzecha
 Pobita nasieniem z maku.

«Patrz, oto na miarę ćwieczek,
 Cal gruby, długi trzy cale:
 W każde z makowych ziareczek
 Wbij mi takie trzy bretnale.»

Mefistofil duchem skoczy,
 Konia czyści, karmi, poi,
 Potem bicz z piasku utoczy,
 I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
 Probuje podskoków, zwrotów,
 Stępa, galopuje, klusa —
 Patrzy, aż i gmach już gotów.

«No! wygrałeś panie bisie;
 Lecz druga rzecz nieskończona.
 Trzeba skąpać się w tej misie —
 A to jest woda święcona.»

Djabel kurczy się i krztusi,
 Aż zimny pot na nim bije,
 Lecz pan każe, sługa musi,
 Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
 Otrząsł się, brrr...! parsknął raźnie:
 «Teraz jużes w naszej mocy,
 Najgorętszą odbył łaźnię.»

«Jeszcze jedno, będzie kwita,
 — Zaraz pęknie moc czartowska! —
 Patrzaj — oto jest kobieta,
 Moja żoneczka, Twardowska.

«Ja na rok u Belzebuba
 Przyjmę za ciebie mieszkanie;
 Niech przez ten rok moja luba
 Z tobą, jak z mężem zostanie.

«Przysiąż jej miłość, szacunek,
 I posłuszeństwo bez granic;
 Złamiesz choć jeden warunek,
 Już cała ugoda za nie.»

Djabeł do niego pół ucha,
 Pół oka zwrócił do samki:
 Niby patrzy, niby słucha —
 Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
 Od drzwi, od okien odpycha,
 Czmychnąwszy dziurką od klucza,
 Dotąd, jak czmycha tak czmycha.

T U K A J,
ALBO PRÓBY PRZYJAŹNI.
(We czterech częściach.)

I.

«Ja umieram. — Ja nie płaczę,
I wy chcejcie ulżyć sobie;
Prędeż, później, legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpędze.
Byłem panem mnogich włóści,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię!
Wielkie nic! Wielkość, czyzy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Gdy za mądrości widziałem
Goniąc, zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadałem:
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię!
Wielkie nic! Rozum, czyzy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Strzegłem ustaw świętej wiary
W duchu i serca prostocie;
Hojnie nagradzałem cnotcie,
Kościołom niosłem ofiary:
O pobożności! człowieku!¹
Święta wiaro, święte imię,
Święte nic! Cnoto, czyzy dymie!

¹ Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych balladach.

Ja umieram w kwiecie wieku!
 Twórco, jakże igrasz srodze!
 Kiedy mi dasz wiek niedługi,
 Cóż że mi dasz wierne sługi:
 Czemże za wierność nagrodzę?
 Dasz kochankę kochankowi:
 Śmierć truje ślubów słodycze. —
 I tylu przyjaciół liczę!
 Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! —
 Tak na domowników ręku
 Tukaj, pośród skarg i jęku,
 Pożegnawszy świat na wieki,
 Gasnące zamknął powieki.

Wtem grom łamie szczyty dachu.
 Zadrżały zamkowe ściany,
 Jakowys starzec nieznany
 Wlatuje na środek gmachu.
 Siwy włos okrył mu skronie,
 Twarz marszczkami rozorana,
 Broda długa za kolana,
 Na kosturze wsparte dłonie.
 «Tukaju!» porwał z pościeli,
 I wraz za sobą iść każe —
 Już wierzchnie sale minęli,
 Minęli wały i strażę.
 Idą — ciemno, deszczyk kropi,
 A srebrzysta twarz miesiąca,
 To grubawe mgły roztrąca,
 To się znowu we mgle topi.
 Idą ponad trzęskie kępy,
 Mijają bagna, głębinie,
 Gniliicy ciemnej ostępy,
 Koldyczewa nurty sinie —
 Gdzie puszcza zarosła w koło;
 Spodem czarna, z wierzchu płowa,
 Żwirami nasute czoło
 Wynosi góra Żarnowa —

Tam szli. — Starzec kląkł na grobie,
 Rozwarł usta, okiem błysnął,
 Podniósł w górę ręce obie,
 Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
 «Tukaju, patrz, oto ścieżka!
 Za ścieżką chatka na bagnie,
 W chatce mędrzec Połel mieszka:
 Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.
 Znana twa nauka, cnota;
 Znam, że Bóg węzły lubemi
 Przywiązawszy cię do ziemi,
 Długiego nie da żywota.
 Ale rzucaj przestrach płony,
 Mych sposobów uznaj dzielność;
 Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
 Lata, wieki, nieśmiertelność.
 Ja pierwszy, ziemskiemu oku
 Śmiem do niej pokazać drogę;
 Lecz podług ustaw wyroku,
 Dwom tylko pokazać mogę.
 Wybierz drugiego człowieka,
 Człowieka doznanej wiary,
 Któremubys w każdej probie,
 Tak zaufał jak sam sobie.
 Trafisz — nieśmiertelność czeka;
 Chybisz — śmierć i wieczne kary!»
 «Starcze! twe zjawienia wieszczę
 Ciemna zasłona powleka.
 Powiedz. —» «Powiadam ci jeszcze:
 Wybierz drugiego człowieka.
 Radź się twej głowy i serca:
 idzie o ciało i duszę!
 Wierny, albo przeniewierca,
 Nieśmiertelność, lub katusze! —
 Czy mógłbyś zwierzyć się słudze? —»

Tukaj nic nie odpowiada;
 Bo któż zgadnie myśli cudze?

Tak zbyt częsta w sługach zdrada!
 «Może kochance, lub żonie?»
 «Tak —» wtem uciał, patrzy smutnie;
 «Tak» rzecze, i znowu utnie.
 Myśli, sam się z sobą biedzi,
 «Tak jest, kochance — tak, żonie!»
 I wierzy, i strach nań pada,
 I wątpi i wstydem płonie;
 Myśli, sam się z sobą biedzi,
 Umyślił, już w odpowiedzi,
 Już — i nic nie odpowiada.
 «Umrzyj więc! ty śmiałeś żądać?
 Daj pokój żądaniom dzikim!
 Ty nie masz ufności w nikim,
 Wartoż dłużej świat oglądać?»
 On myśli. «Nikogoż z wielu?
 Sługi, żony, przyjaciela! —»
 On myśli. — Tu, w mgnieniu oka,
 Czerni się niebios sklepienie —
 Słysząc grzmienie, ziemi drżenie,
 Kipią bagna, lasy gorą,
 Niknie w płomieniach opoka,
 I doliny i jezioro
 Śród gromów, świstu i szczęku —
 Czy to zły duch, czy moc Boża —
 Tukaj znalazł się śród łoża,
 Na swych domowników ręku.
 Głos tylko zagrzemiał z daleka,
 «Nie masz drugiego człowieka,
 Któremubys, w każdej probie,
 Tak zaufał, jak sam sobie.»

II.

«Ja mam, ja mam przyjaciela!»
 Konający Tukaj woła.
 Wraz uchodzi błądź z czoła,
 Iskrą zdrowia oko strzela,

Tukaj wydarty mogile,
 Wstaje, dziwią się doktory;
 Wstaje, chodzi o swej sile,
 Jakby nigdy nie był chory.
 A wtem, na poduszce z boku,
 Ujrzy z wolej skóry karty,
 Gdzie tajemnice wyroku
 Przekłète spisały czarty.
 Tukaj z ciekawością chwyta,
 Siada, podparł się, i czyta:

«Kiedy miesiąc na młodziku,
 Idź za górę do gaiku,
 Znajdziesz kamień, z pod kamienia
 Białego urwij korzenia.
 Kiedy będziesz bliski śmierci,
 Każ ciało posiec na ćwierci,
 W wodzie zgotować korzonki,
 Pocięte namaścić członki:
 Znowu się duch z ciałem zrośnie,
 W młodocianej wstaniesz wiośnie,
 I możesz, skutkiem tych leków,
 Umierać, wstawać, wiek wieków.»

Dalej tam były przestrogi.
 Jak siekać głowę, jak nogi;
 W jakiej wodzie smażyć trunek,
 Po jakiej brać zioła szczypcie;
 Ale na końcu, w post-skrypcie,
 Taki dodano warunek:

«Jeśli użyty ktoś drugi,
 Do namaszczałnej posługi,
 Zwiedzion przez nasze fortele,
 Innemu pokaże ziele,
 Lub w oznaczonej godzinie,
 Twego ciała nie namaści:
 Wtenczas skutek zioła zginie,

Wtenczas piekło czeka waści.
 Jeśli na to się ośmielisz,
 Dla znaku, że zaszła zgoda,
 Nasz poseł Mefistofelisz,
 Do wymiany traktat poda.
 Ostrzegliśmy o fortelach,
 Strzeż się; potem próżny kweres.
 Dan w Ercbie, w szabas rano. —
 Własną ręką podpisano:
 Tak ma stać się: Lucyferes.
 A za zgodność: Hadramelach.

Tukaj trochę się zagniewał,
 Warunku się nie spodziewał.
 Brodę na ręku podpiera,
 Potarł czoło, skrzywił nosa,
 Na kontrakt spojrzął z ukosa;
 Tabaczki dwa razy zażył,
 To na ziemię spuszcza oczy,
 To po stołowaniu toczy.
 Wziął pargamin, w ręku zważył;
 Znowu nań zezem poziera,
 Znowu czytał i odczytał;
 Znowu zważył, znowu zmierzył,
 Kułakiem o stół uderzył,
 Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
 Ręce nad czoło zakłada —
 Skoczył raptem i w zapędzie,
 Machnął ręką: «Niech tak będzie!»
 Znowu umilkł, znowu siada,
 Znowu myśli, znowu wstaje,
 Znowu chodzi, znowu siada.
 Niech go za to nikt nie łaje,
 Bo z djablami rzecz nielada.

Myśli: albo wieczne życie,
 Albo wiecznie djabłu dusza.

Nie nie mówi, myśli skrycie.
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi.
Tukaj oddala się z tłumu
I do pracowni rozumu,
Zamknąwszy się, jeden siedzi.
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stępel przyjęcia zyska,
W surowej uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygłe;
Tam jedną myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka;
Sieka, topi nakształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł po długim namyśle:
«Jakieżkolwiek to fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich niewiele, czy wiele,
Trojakiej będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły, albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo, krótszemi słowy,
Będzie sylogizm takowy:
Trojaka to zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie
Twardej nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie.»

Tukaj, kontent z wynalasku,
Szuka atramentu, piasku,

Idzie kreślić pismo grzechu;
 Ale idzie bez pośpiechu.
 Już ciemno, pisać niewczesnie,
 W atramencie jakieś pleśnie,
 Dwie świece musiał zapalać,
 I dwa kałamarze nalać.
 Coś mu zabolalo w łokciu;
 Wziął pióro, na piórze włossek,
 I bardzo spisany nosek;
 Otrząsł, przyciął na paznokciu.
 Po długim względzie, rozglądzie,
 Wreszcie pisze: niech tak będzie.
 Chciał dołożyć i nazwisko,
 Lecz nim pierwsze T napisał,
 Myślał pół godziny blisko,
 Głowę i piórem kołysał;
 I nic więcej nie napisał;
 Tylko do pierwszej litery,
 Dodał małe kropki — cztery.

Gdy już napisano widzi,
 Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
 Niechaj z tego nikt nie szydzi,
 Bo z djablami rzecz nielada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
 Gdy głoska B, w słowie Będzie,
 Zaczęła brzęczeć i szumieć,
 I wzdymać wszystkie krawędzie.
 Kręci się, beczy, pądrasta,
 Jak na drożdżach kawał ciasta;
 Dolna litery połowa
 Wykurcza się w brzuch i żebra —
 U zwierchniej wypukła głowa,
 Nakształt ogromnego cebra.
 Szyjka jak u osy wąska,
 Nosik orła, bródka kozła,

A z jednej go strony końska,
 Z drugiej kurza łapka wiozła;
 Pogląda okiem wołowem,
 Skrzydła naksztalt młyńskich wiosei
 Był to djabeł, jednym słowem,
 Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
 Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
 Kiedy przyskoczył zuchwalec:
 Porwał za maleńki palec,
 Zasadził nożyk pod skórka,
 I umoczył we krwi piórko;
 Piórko wścibił, ścisnął w ręku,
 Ręką wodzi pomaleńku,
 Gdy już U, K, A, J, minął,
 Zrobiło się całkiem Tukaj.
 Djabeł świsnął, czmychnął, zginął —
 Teraz że z nim ładu szukaj!

(Dalsze ballady o Tukaju w przyszłości.)

LILIE.

(Z pieśni gminnej.)

Zbrodnia to niesłychana:
 Pani zabiła pana.
 Zabiwszy, grzebie w gaju,
 Na łączce przy ruczaju,
 Grób lilią zasiewa,
 Zasiewając tak śpiewa:
 «Rośnij kwiecie wysoko,
 Jak pan leży głęboko;
 Jak pan leży głęboko,
 Tak ty rośnij wysoko.»

Potem cała skrwawiona,
 Męża zbójczyńi żona,
 Bieży przez łąki, przez knieje,
 I górą i dołem i górą.
 Zmrok pada, wietrzyk wieje;
 Ciemno, wietrzno, ponuro!
 Wrona gdzieniegdzie kracze,
 I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
 Gdzie stary rośnie buk,
 Do chatki pustelnika:
 Stuk stuk, stuk stuk.

«Kto tam?» Spadła zaporą,
 Wychodzi starzec, świeci;
 Pani naksztalt upiora
 Z krzykiem do chatki leci.
 «Ha! ha!» — zsiniałe usta,
 Oczy przewraca w słup,
 Drżąca, zbladła jak chusta;
 «Ha! mąż, ha trup!»

«Niewiasto! Pan Bóg z tobą!
 Co ciebie tutaj niesie?
 Wieczorną słotną dobą,
 Co robisz sama w lesie?»

«Tu za lasem, za stawem,
 Błyszcą mych zamków ściany,
 Mąż z królem Bolesławem
 Poszedł na Kijowiany.
 Lato za latem bieży,
 Nie masz go z bojowiska,
 Ja młoda wśród młodzieży,
 A droga cnoty śliska!
 Nie dochowałam wiary,
 Ach! biada mojej głowie!

Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

«Ha! ha! mąż się nie dowiel
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już! —
Starcze! — wyznałam szczerze —
Ty głos świętemi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła.»

«Niewiasto! — rzecze stary —
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idź-że sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.»

Pani z wyroku rada,
Jak wpadła tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą.
«Mamo — wołają — Mamo!
A gdzie został nasz tato?»
«Nieboszczyk? co? wasz tato?»
— Nie wie co mówić na to —
«Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.»

Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno!
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy:
«Dzieci, woła, to ja to,
To ja dzieci, wasz tato!»

Noc przeszła, zasnąć trudno:
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!

«Idź Ilanko przez dziedziniec;
Słyszę tentent na moście,
I kurzy się gościniec:
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?»

«Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!

«A witajże! czy zdrowa?
Witajże nam bratowa!
Gdzie brat?» «Nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat.»

«Kiedy?» «Dawno, rok minął!
 Umarł — na wojnie zginął.»
 «To kłamstwo, bądź spokojna,
 Już skończyła się wojna;
 Brat zdrowy i ochoczy —
 Ujrysz go na twe oczy.»

Pani ze strachu zbladła,
 Oczy przewraca w ślup,
~~Z twogą~~ do koła rzuca.
 «Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?»
 Powoli się ocuca;
 Mdląła niby z radości
 I pytała u gości:
 «Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
 Kiedy przedemną stanie?»

«Powracał razem z nami,
 Lecz przodem chciał pospieszyć
 Nas przyjąć z rycerzami,
 I twoje łzy pocieszyć.
 Dziś, jutro pewnie będzie,
 Pewnie kędyś w obłędzie
 Ubite minął szlaki.
 Zaczekajmy dzień jaki:
 Poszlemy szukać wszędzie,
 Dziś, jutro pewnie będzie.»

Posłali wszędzie sługi,
 Czekali dzień i drugi;
 Gdy nic nie doczekali,
 Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
 «Bracia moi kochani —
 Jesień zła do podróży,
 Wiatry, sloty i deszcze,
 Wszak czekaliście dłużej,
 Czekajcie trochę jeszcze.»

Czekają. Przeszła zima.
 Brata nie ma i nie ma.
 Czekają; myślą sobie:
 Może powróci z wiosną?
 A on już leży w grobie,
 A nad nim kwiatki rosna,
 A rosna tak wysoko,
 Jak on leży głęboko.
 I wiosnę przeczekali,
 I już nie jada dalej.

Do smaku im gospoda,
 Bo gospodyni młoda;
 Że chcą jechać udają
 A tymczasem czekają,
 Czekają aż do lata,
 Zapominają brata.

Do smaku im gospoda,
 I gospodyni młoda.
 Jak dwaj u niej gościli,
 Tak ją dwaj polubili.
 Obu nadzieja łechce,
 Obadwaj zdjęci trwoga;
 Żyć bez niej żaden nie chce,
 Żyć z nią obaj nie mogą.
 Wreszcie, na jedno zdani,
 Idą razem do pani.

«Słuchaj, pani bratowo,
 Przyjm dobrze nasze słowo.
 My tu próżno siedzimy,
 Brata nie zobaczymy.
 Ty jeszcze jest ś młoda,
 Młodości twojej szkoda.
 Nie wiąż dla siebie świata,
 Wybierz brata za brata.»

To rzekli i stanęli.
 Gniew ich i zazdrość piecze,
 Ten to ów okiem strzeli,
 Ten to ów słówko rzecze;
 Usta sine przycięli,
 W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
 Co mówić, sama nie wie,
 Prosi o chwilkę czasu,
 Bieży zaraz do lasu.
 Bieży w dół do strumyka,
 Gdzie stary rośnie buk,
 Do chatki pustelnika,
 Stuk stuk, stuk stuk.
 Całą mu rzecz wyklada,
 Pyta się, co za rada?

«Ach, jak pogodzić braci?
 Chcą mojej ręki oba:
 Ten i ten się podoba:
 Lecz kto weźmie? kto straci?
 Ja mam maleńkie dziatki,
 I wioski i dostatki,
 Dostatek się zmitręża,
 Gdy zostałam bez męża.
 Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
 Nie dla mnie już zameście!
 Boża nademną kara —
 Ściga mię nocna mara.
 Zaledwie przymknę oczy,
 Traf, traf, klamka odskoczy —
 Budzę się: widzę, słyszę,
 Jak idzie i jak dysze,
 Jak dysze i jak tupa —
 Ach, widzę, słyszę trupa!
 Skrzyp, skrzyp i już nad łożem:
 Skrwawionym sięga nożem,

I iskry z gęby sypie,
 I ciągnie mnie i szczypie.
 Ach, dosyć, dosyć strachu,
 Nie siedzieć mi w tym gmachu,
 Nie dla mnie świat i szczęście,
 Nie dla mnie już zamięściel!»

«Córko! — rzecze jej stary —
 Nie masz zbrodni bez kary:
 Lecz jeśli szczerą skrucha,
 Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
 Znam ja tajnie wyroku,
 Miłą ci rzecz obwieszczę;
 Choć mąż zginął od roku
 Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.»

«Co, co? jak, jak? mój ojcze!
 Nie czas już, ach nie czas?
 To żelazo zabójcze
 Na wieki dzieli nas!
 Ach znam, żem warta kary,
 I zniosę wszelkie kary.
 Byle się pozbyć mary,
 Zrzekę się mego zbioru,
 I pójdę do klasztoru,
 I pójdę w ciemny las.
 Nie, nie wskrzeszaj mój ojcze!
 Nie czas już, ach nie czas!
 To żelazo zabójcze
 Na wieki dzieli nas!»

Starzec westchnął głęboko,
 I łzami zalał oko,
 Oblicze skrył w zasłonie,
 Drżące załamał dłonie:
 «Idź za mąż póki pora,
 Nie lękaj się upiora.

Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.

«Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?» —
«Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek sobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać czyj jaki —
I pójdzie w kościół Boży,
I na ołtarzu złoży:
Czyj pierwszy weźmiesz wianek.
Ten mąż twój, ten kochanek.»

Pani, z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swej układa,
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu —
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży i staje,
I staje i myśli i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni,
I że coś szepce do niej —
W około ciemność głucha:
«To ja twój mąż, twój mąż!»

I staje i myśli i słucha,
 Słucha, zrywa się, bieży;
Włos się na głowie jeży,
 W tył obejrzyć się lęka —
 Coś wciąż po krzakach stęka,
 Echo powtarza wciąż:
 «To ja, twój mąż, twój mąż!»

Lecz zbliża się niedziela,
 Zbliża się czas wesela.
 Zaledwie słońce wschodzi,
 Wybiegają dwaj młodzi.
 Pani, wśród dziewic grona
 Do ślubu prowadzona,
 Wystąpi wśród kościoła
 I bierze pierwszy wianek —
 Obnosi go do koła:
 «Oto w wieńcu lilie
 Ach czyjeż to są, czyje?
 Kto mój mąż, kto kochanek?»

Wybiega starszy brat,
 Radość na licach płonie,
 Skacze i klaszcze w dłonie:
 «Tyś mój, mój to kwiat!
 Między lilii kręgi,
 Uplotłem wstążek zwój:
 To znak, to moje wstęgi!
 To mój, to mój, to mój!»

«Kłamstwo! — drugi zawoła —
 Wyjdźcie tylko z kościoła,
 Miejsce widzieć możecie,
 Kędy rwałem to kwiecie.
 Rwałem na łączce w gaju,
 Na grobie przy ruczaju,
 Okażę grób i zdroj:
 To mój, to mój, to mój!»

Kłóćą się źli młodzieńce,
 Ten mówi, ten zaprzecza:
 Dobyli z pochew miecza. —
 Wszczyna się srogi bój,
 Szarpią do siebie wieńce:
 «To mój, to mój, to mój!»

Wtem drzwi kościoła trzaśły,
 Wiatr zawiał, świece zgasły,
 Wchodzi osoba w bieli:
 Znany chód, znana zbroja —
 Staje — wszyscy zadrżeli.
 Podziemnym woła głosem:
 «Mój wieniec i ty moja!
 Kwiat na mym rwany grobie:
 Mnie księżę stulą więź! —
 Zła żono, biada tobie:
 To ja, twój mąż, twój mąż!
 Źli bracia! biada obu!
 Z mego rwaliście grobu,
 Zawieście krwawy bój.
 To ja, twój mąż, wasz brat,
 Wy moi, wieniec mój! —
 Dalej na tamten świat!»

Wstrzęsła się cerkwi posada,
 Z zrębu wysuwa się zrąb,
 Sklep trzeszczy, głęb zapada —
 Cerkiew zapada w głęb.
 Ziemia ją z wierzchu kryje,
 Na niej rosna lilie,
 A rosna tak wysoko,
 Jak pan leżał głęboko.

DUDARZ.

(Myśl z pieśni gminnej.)

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy
Z siwą aż do pasa brodą?
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci;
Chłopcy dmą w dudeczki z piórek.
Zawołam starca, niech się zawróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

«Zawróć się starcze tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał pan Bóg, tem się podzielim,
I do wsi na noc stąd blisko.»

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko
I usiadł sobie pod miedzą:
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

«Witaj dudarzu! witamy radzi,
W wesołej przychodzisz dobie;
Pewnie z daleka pan Bóg prowadzi?
Pogrzej się i spocznij sobie.»

Wiodą, gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
 Sadzą dudarza pośrodku:
 «Może pozwolisz na trochę strawy,
 Albo na szklaneczkę miodku?»

«Widzim i lirę, widzim piszczałki:
 Zagraj co nam samotrzeci;
 Napełnim za to tłomok, kobiałki,
 I będziemy wdzięczni waszeci.»

«No, stójcież cicho — rzekł do gromadki —
 Cicho — powtarza, w dłoń klaska —
 Jeżeli chcecie, zagram wam dziatki.
 A cóż wam zagrać?» «Co łaska.»

Wziął w ręce lirę i szklankę sporą,
 Miodem pierś starą zagrzewa,
 Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą —
 Brząknął, nastroił i śpiewa:

«Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
 Od wioseczki do wioseczki,
 Z borku do borku, z smugów na smugi,
 Śpiewając moje piosneczki.

«Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
 Ale nikt mię nie rozumie;
 Ja łyzy ocieram, westchnienia tłumię,
 I idę dalej a dalej.

«Kto mię zrozumie, ten się użali,
 I w białe uderzy dłonie;
 Uroni łeskę — i ja uronię,
 Ale już nie pójdę dalej.»

A wtem grać przestał. Nim znowu zacząć,
 Przelotem spojrzął po błonię:
 Lecz w jedną stronę spoziera bacznie;
 Któż sam stoi na ustroniu?

Stala pasterka i plotła wieniec,
 To uplecie, to rozplecie;
 A obok przy niej stoi młodzieniec,
 I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jej widłać czoła,
 Ku ziemi spuszczone oko;
 Nie była smutna ani wesola,
 Tylko coś myśli głębokoko.

Jak puszkciem chwieje trawka zielona,
 Choć wiatr przestanie oddychać:
 Tak się na piersiach chwieje zasłona,
 Chociaż westchnienia nie słyhać.

Wtem z piersi listek zżółkły odepnie,
 Listek nieznanego drzewa;
 Spojrzy nań, rzuci i z cicha szepnie,
 Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
 Podniosła w niebo źrenice;
 Nagle na oczach łośki zaświecą
 I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
 A wzrok utopił w pasterce,
 Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
 Zdał się przedzierać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
 Miodem pierś starą zagrzewa,
 Skinął na chłopców; ci do multanek,
 Brząknął, nastroił i śpiewa:

«Komu ślubny splatasz wieniec
 Z róż, lilii i tymianka?
 Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
 Komu ślubny splatasz wieniec!

«Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łąy i rumieniec! —
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lili i tymianka?

«Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lili i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec:
Ty jednemu oddasz wieniec.

«Zostawże łąy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lili i tymianka¹.»

Na to szmer powstał; różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną:
Tę piosenkę śpiewał ktoś z naszej wioski;
Lecz kto i kiedy nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę:
«Słuchajcie dzieci — zawoła —
Powiem, od kogo mam tę piosenkę,
Może on był z tego siola.

«Kiedym, wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przyplłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

«Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu;
Odbił się potem od swej drużyny
I nie powrócił do domu.

¹ Te triolety wyjęte są z poezji Tomasza Zana.

«Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach, albo u morza
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

«Pośród skał nieraz podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A lzy powierzając wodzie.

«Szedłem ku niemu: spozierał smutnie
Ale odemnie nie stronił;
Jam, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

«Lzy mu się rzucą — lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

«Poznaliśmy się lepiej nawzajem,
I byliśmy przyjaciela.
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem niewiele.

«Potem, gdy troską strawiony długą
Już nie mógł rady dać sobie;
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.

«Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
Raz mię przywołał do łoża:
Czuję, rzekł, bliski koniec niedoli,
Niech się spełni wola Boża.

«Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

«Kiedy mię skał tych dzikich zakątek,
 Ukrył przed gminu obliczem,
 Odtąd już dla mnie świat ten był niczem:
 Żyłem na świecicie pamiątek.

«Ty, coś mi wiernym został do grobu,
 — Kończył, ściskając za ręce —
 Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
 Wszakże to, co mam, poświęcę.

«Znasz piosnkę, którąm po tyle razy
 Śpiewał, płacząc nad mym losem?
 Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
 I wiesz, jakim śpiewać głosem.

«Mam jeszcze z białych włosów zawiąskę
 I zeschnięty cyprysu listek:
 Naucz się piosnki, weź tę gałąskę,
 To mój na ziemi skarb wszystek.

«Idź — może znajdziesz na brzegach Niemna
 Tę, której już nie obaczę;
 Może jej piosnka będzie przyjemna,
 Może nad listkiem zapłacze.

«Nagrodzi starca, do domu przyjmie —
 Powiedz —» W tem oko ściemniało,
 A w ustach Panny Najświętszej imię,
 Wpół wymówione zostało.

«Silił się jeszcze i w samym skonie
 Napróżno coś wyrzec żądał;
 Wskazał ku sercu i ku tej stronie,
 Na którą żyjąc poglądał.»

Tu przerwał dudarz, i szukał okiem
 Dostając listek z papierka:
 Lecz już nie była między natłokiem
 Ta, której szukał — pasterka.

Z daleka tylko poznał sukienkę,
 Bo w chustce skryła twarz boską;
 Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę;
 Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział:
 «Co to jest?» wszyscy pytają —
 On nie nie wiedział! może i wiedział,
 Ale nie mówił przed zgrają.

Z C Z A T Y.

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
 Bieży w zamek z wściekłością i trwogą:
 Odchyliwszy zasłony, pojrzał w łożę swej żony,
 Pojrzał — zadrżał — nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
 Siwe wąsy pokręca i duma.
 Wzrok od łoża odwrócił, w tył wyloty zarzucił,
 I zawołał kozaka Nauma.

«Hej kozaku! ty chamiel! czemu w sadzie przy bramie
 Nie ma nocą ni psa, ni pachółka? —
 Weź mi torbę borsuczą i janczarkę hajduczą,
 I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.»

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
 Kędy szpaler altanę obrasta.
 Na darniowem siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
 To siedziała w białiznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy,
 I pierś kryła pod rąbek białizny;

Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: «Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia,
Wojewoda już z góry zapłacił!

«Ja, choć z takim zapalem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki:
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabręczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!

«Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twem łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych,
Mnie wzbronione słodczyce wysysał!

«Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku,
Biegę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieszczoty! —»

Ona jeszcze nie słucha; on jej szepce do ucha
Nowe skargi czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem,
I dobyli z za pasa naboje;
I odciegli zębami i przybili stęplami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

«Panie! — kozak powiada — jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przechodził,
I stoczyła się łza do panewki.»

«Ciszej — plemię hajducze, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;

Podsyp zapał, a żywo szczyść paznokciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewczkę.

«Wyżej — w prawo — pomału — czekaj mego wystrzału:
Pierwej musi w łeb dostać pan młody —»
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb — wojewody.

UCIECZKA.

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno, szkoda młodych lat:
Od książęcia jedzie swat.

Księżę ucztuje we dworze
A panna płacze w komorze.
Jej źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jej lica, pełnia księżycy,
Dziś nikną jak księżyc w nowiu!
Biada wdziękom, biada zdrowiu.

Matka troszczy się i biedzi;
Księżę dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
«Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie!
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie matko żal zabije!»

Ksiądz w konfesyonale siedzi:
«Czas o córko do spowiedzi.»

Przyszła kuma, wiedźma stara:
 «Wypędź księdza, wypędź klechę!
 Bóg i wiara — sen i mara!
 Kuma w biedzie ma pociechę:
 Kuma stara umie wiele,
 Ma kwiat paproć i car ziele,
 A ty masz kochanka dary —
 Przyszłam zrobić możne czary!

«Włosy jego w węża splącz,
 Dwie obrączki razem złącz,
 Z lewej ręki krwi usącz;
 A na węża będziemy kląć,
 W dwie obrączki będziemy dąć:
 Musi przyjść i ciebie wziąć.»

Panna grzeszy — jedździec spieszy;
 Kłęto ducha — klątwy słucha;
 Już odemknął zimny gmach:
 Panno! panno! czy nie strach?

Ucichł, usnął dzwon zamkowy;
 Panna czuwa. Na zegarze
 Bije północ: dźwięk podkowy —
 Brytan, jakby głosu nie miał,
 Zawył z cicha — i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
 Stąpa ktoś w przysionkach długich,
 I otwiera się drzwi troje,
 Troje drzwi jedne po drugich.
 Wchodzi jeździec cały w bieli
 I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
 Wtem koń zarżał, jęła sowa,
 Zegar wybił: «Bywaj zdrowa!
 Koń mój zarżał, koń mój czeka;

Albo wstawaj, na koń siądz
I na wieki moją bądź!»

Mieściec świeci; jeździec leci
Pa zaroślach i po krzaczach:
Panno, panno, czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem. Głucho w lesie —
Tu i owdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze źrenice
Migają się jako świece.

«W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Mieściec na dół schodzi z chmur:
A nim zejdzie mieściec z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór:
Za godzinę pieje kur!»

«Gdzie mię wiesziesz?» «Gdzie? Do domu!
Dom mój na górze Mendoga;
W dzień otwarta wszystkim droga —
W nocy jeździm pokryjomu.»
«Czy masz zamek?» «Tak jest, zamek,
I zamczysty, choć bez klamek. —»

«Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łęku.»
«Moja luba siodła imaj,
Prawą ręką — co masz w rękę?
Czy to worek do roboty?»
«Nie, to jest Oltarzyk złoty —»

«Nie czas wstrzymać! Pogoń bieży,
Słyszysz pogoń? tętnią błonia;
Już przed koniem przepaść leży:
Rzucaj książkę, puszczam konia! —»

Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec —
Pusto w koło. Błądny ognik
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje: gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

«Mój kochanku, co za droga!
Tu nie znać śladu człowieka —»
«Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie, kto ucieka!
Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości:
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

«W cwał mój koniu, koniu w cwał!
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon:
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór;
Za godzinę drugi kur!»

«Mój kochanku, wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sady,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.»
«Moja luba, jakie sznurki,
Jakie wiszą tam kieszonki? —»
«Mój kochanku, to paciorki,
To szkaplerze i koronki! —»

«Sznur przeklęty! Sznur znienacka
Rumakowi miga w oczy!

Patrz jak zadrzał, bokiem skoczy —
Moja luba, rzuć te cacka!»

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

«Co to za smętarz, mój miły?»
«To mur, co mych zamków strzeże.»
«A te krzyże, te mogiły?»
«To nie krzyże, to są wieże —
Mur przeskoczym, przejdziem progi:
Tu na wieki koniec drogi.

«Stój mój koniu, koniu stój!
Przebyłeś, nim zapiał kur,
Tyle rzek i skał i gór:
A tuś zadrzał koniu mój?
Wiem ja koniu, czego drzysz:
Mnie i tobie boli krzyż.»

«Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię splukała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drzę cała —»
«Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę:
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może — —

Jaki masz tam ćwiek ze stali?»
«To krzyżyk, co matka dała.»
«Ten krzyżyk ostry jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali!
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!»

Krzyż na ziemię padł i zniknął —
Jeździec pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął;
Rumak ludzkim śmiechem ryknął;

Przeskoczyli cwałem mury —
 Biją dzwony, pieją kury.
 Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
 Zniknął koń z jeźdźcem i panną.

Na smętarzu cisza była.
 Stoją krzyże, głowy leżą:
 Jedna bez krzyża mogiła
 I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał,
 I mszę za dwie dusze miał.

TRZECH BUDRYSÓW.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
 Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
 «Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
 A wyostrzcie i groty i miecze.

«Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
 Trzy wyprawy na świata trzy strony:
 Olgierd ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
 A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

«Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
 Niech Litewskie prowadzą was Bogi!
 Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
 Trzej jesteście i macie trzy drogi.

«Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
 Po nad Ilmem, pod mur Nowogrodu;
 Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
 I u kupców tam diengi jak lodu.

«Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
 Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
 Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku,
 I kapłańskie w brylantach ornaty.

«Za Skirgielłem niech trzeci po za Niemen przeleci;
 Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
 Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
 I mnie stamtąd przywiezie synowę.

«Bo nad wszystkich ziem branki miłsze Laszki kochanki:
 Wesolutkie jak młode koteczki,
 Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka.
 Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.¹

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
 Łaskę sobie przywozłem za żonę:
 A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
 Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.»

Taką dawszy przestrozę, błogosławił na drogę:
 Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
 Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma;
 Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.
 «Ej to kubał, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?»
 «Nie, mój ojczu, to Łaszka synowa!»

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.

¹ W Albumie p. Piotra Moszyńskiego znajduje się i ballada Trzech Budrysów. Oprócz kilku drobnych odmian, czytamy tam następną, we wszystkich wydaniach opuszczoną strofę:

«Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
 Że za trzewik dziewczynie swawolnej
 Często służy kwiat powny, zwany trepkim królowy,
 Kwiat nie większy od lilii polnej.»

«Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubek bursztynu?»
 «Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.»

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci;
 Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
 Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
 Prosić gości na trzecie wesele.

R E N E G A T.

I.

Co się niedawno stało w Iranie
 Opowiem światu całemu.
 Na kaszemirskim usiadł dywanie
 Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
 Płasają branki Kirgiza;
 U tych w źrenicach szafir niebieski,
 U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, Basza nie słucha;
 Turban zawiesił nad okiem,
 Drzymie i dymy ciągnąc z cybucha,
 Okrył się wonnym obłokiem.

Wtem u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
 Rozstąpiły się sług rzędy;
 Nieznaną brankę wiódł Kyzlar-Aga,
 Skłonił się i rzekł: «Effendy!

«Którego jasność takiej jest mocy
 Między gwiazdami dywana,
 Jak śród brylantów na szatach nocy
 Ognisko Aldeboranu!

«Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu!
 Bom dobrych nowin tłómaczem:
 Oto służebny wiatr z Lehistanu
 Darzy cię nowym haraczem.

«Padyszach nie ma takiej krzewiny
 W sadzie rokoszy w Stambule;
 Ona jest rodem z zimnej krainy,
 Którą wspominasz tak czule.»

Tu gazę, co jej wdzięki przygasza,
 Odsłonił — cały dwór klasnął;
 Spojrzał raz na nią trzytulny Basza,
 Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
 Biegą przebudzić — o dziwy!
 Usta zsiniałe, twarz śmiercią blada,
 Basza renegat nieżywy!

II. ¹

«O dziwy! zgroza! — wołają janczary!
 I mędrce w prawie ćwiczeni —
 Tę Nazaretkę, za okropne czary,
 Zakopiem w stosie kamieni.

Owoż to Hassan, ów renegat Basza,
 Sroższy nad lwa i tygrysa,
 Co go nie tknęła żadna dziewa nasza,
 Ni Dżurdżystanu hurysa:

«On, gdy Hanowi na srebrny półmisek
 Rzucił łeb księcia Iflaku,
 Wdzięczny mu Hagan dziesięć Odalisek
 Z własnego przysłał orszaku:

¹ Z rękopisu, w Albumie p. Piotra Moszyńskiego.

«Wszystkiemi wzgardził! Teraz go zabija
 Postać lękliwej gazeli;
 Jako motyla lada modra żmija
 Promieniem oczu zastrzeli.

«Niechże tę żmiję Bej na pastwę czerni
 Z warownej straży przywiedzie! —
 Już od godziny zebrali się wierni,
 I Kady z miasta już jedzie —»

Przyjechał Kady, zbierają kamienie;
 Czekają — próżna nadzieja!
 Bej nie przychodzi, odbite więzienie:
 Ani dziewicy ni Beja! —

5 PANICZ I DZIEWCZYNA.

I. ¹

W gaiku zielonym
 Dziewczę rwie jagody;
 Na koniku wronym
 Jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni,
 I z konia zeskoczy;
 Dziewczę się zapłoni,
 Na dół spuści oczy.

«Dziewczyno kochana!
 Dziś na te dąbrowy
 Z kolegami z rana
 Przybyłem na łowy.

¹ Pierwsza część tego wiersza jest pióra Antoniego Edwarda Odyńca
 a dwie drugie Adama Mickiewicza.

«I trafić nie mogę,
Gdzie leży miasteczko:
Wskaż proszę mi drogę,
Piękna pastereczko!

«Czy prędko już z lasu
Ta ścieżka wywiedzie?»
«Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajędzie.

«Na polu wnet drzewo,
Koło drzewa brzoski,
Stąd droga na lewo,
Tam około wioski.

«W górę przez zarostek,
W prawo ponad rzeczką:
Tam młynek i mostek,
I widać miasteczko.»

Paniecz podziękował.
Czule rączkę ścisnął,
W usta pocałował,
Na konika świsnął.

Siadł — ostrogą spina --
Nie widać młodego.
Westchnęła dziewczyna --
Ja nie wiem dla czego.

II.

W gajku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I woła z daleka:
«Pokaż inną drogę!

Za wioską jest rzeka;
Przejechać nie mogę,

«Ni mostu żadnego,
Ni brodu wytropić.
Chciałażbyś młodego
Chłopczyka utopić?»

«Tą jedź pan drożyną.
Na prawo kurhanu.»
«Bóg zapłać dziewczyno!»
«Dziękuję waćpanu!»

W las poszła drożyna,
Nie widać młodego —
Westchnęła dziewczyna!
Oj! wiem ja dla czego.

III.

W gajku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
«Dziewczyno, dla Boga!
Wjechałem do rowu!
Jakaż twoja droga?»

«Nie jeździł w te ślaki
Nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu!»

«Poluje dzień cały,
Koniam nie popasał;
Jeździec zadyszały,
Konik się zahałał.

Zsiędę, u strumyka
Pragnienie ugaszę;
Odkiełzam konika,
I puszcę na paszę.»

I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskoczy;
Dziewcę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

Ten milczy, ta wzdycha;
Po niedługiej chwili
Ten głośno, ta z cicha,
Coś z sobą mówili.

Lecz że wietrzyk dmuchał
W tę stronę dąbrowy,
Przetom nie dosłuchał
Panicza rozmow”

Lecz z oczu i z miny
Tom pewnie wyczytał:
Że więcej dziewczyny
O drogę nie pytał —

6 RĘKAWICZKA.

(Z Szyllera.)

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada;
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko.
 Spadły wrzeczadze: ogromne lwisko
 Zwolna się toczy;
 Podnosi czoło,
 Milczkiem obraca oczy
 W około;
 I ziewy rozdarł straszliwie,
 I kudły zatrząśł na grzywie,
 I wyciągnął cielska brzemię —
 I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu.
 Znowu przemknie się krata:
 Szybkimi skoki, cheiwy połowu
 Tygrys wylata.
 Spoziera z dala,
 I kłami błyska,
 Język wywala,
 Ogonem ciska,
 I lwa do koła obiega.
 Topiąc wzrok jaszczurczy,
 Wyje i burezy;
 Burząc, na stronie przylega.

Król skinął znowu.
 Znowu podwój otwarty:
 I z jednego zachowu
 Dwa wyskakują lamparty.
 Łakoma boju para zajadła
 Już tygrysa opadła;
 Już się tygrys z niemi drapie,
 Już obudwu trzyma w łapie:
 Wtem lew podniósł łeb do góry —
 Zagrzmiął — i znowu cisze.
 A dziec z krwawemi pazury
 Obiega, za mordem dysze;
 Dysząc na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
 Z rączek nadobnej Marty —
 Pada między tygrysa i między lamparty
 Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
 «Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
 Czulemi przysiągł wyrazy,
 Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.»

Emrod przeskoczył zapory,
 Idzie pomiędzy potwory,
 Śmiało rękawiczkę bierze.
 Dziwią się panie, dziwią się rycerze;
 A on w zwycięskiej chwale
 Wstępuje na krużganki.
 Tam, od radośnej witany kochanki,
 Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił:
 «Pani! twych dzięków nie trzeba mi wcale.»
 To rzekł i poszedł — i więcej nie wrócił.

SONET Y.

Quand' era in parte altr' uom da quel, ch' lo sono.

PETRARCA.

PRZYPOMNIENIE.

Jauro! czyliż te piękne wieków naszych lata,
Jeszcze się kiedy twojej malują pamięci?
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata?

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci:
Tam nas często, wzajemne tłomaczących chęci,
Późnej nocy miłośna osłoniła szata;

A księżyc z pod bladego wyjrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękowi twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem mięsza się westchnienie! —

II.

DO LAURY.

Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił,
 W nieznanem oku dawnej znajomości pytał;
 I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
 Jak z róży, której piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił;
 Twój głos wnikał do serca i za duszę chwycił;
 Zdało się, że ją anioł po imieniu witał,
 I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją!
 Jeśli cię mem spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
 Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę!
 Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
 Tylko wyznaj, że Bóg mi postubił twą duszę! —

III.

Mówię z sobą, z drugimi płacząc się w rozmowie;
 Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
 Iskry czuję w źrenicach a na twarzy bladnę;
 Nie jeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie.
 Tak cały dzień przemęcę. Gdy na łożę padnę,
 W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
 Serce ogniste mary zapala w mej głowie;

Zrywam się, biegnę, składam na pamięć wyrazy,
Któremi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu,
Składane, zapomniane po milion razy. —

Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję, czemu
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy,
Aby goreć na nowo — milczeć po dawnemu. —

IV.

Nie uczona twa postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska:
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć z bliska —
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczoraj brzmiały i pieśni i głośna rozmowa,
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska,
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś — każdy święte milczenie zachowa.

Tak wśród uczty, gdy śpiewak do chóru wyzywał,
Gdy koła tańczące wily się po sali:
Nagle staną i zmilkną, każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział, dla czego w zadumieniu stali:
«Ja wiem, rzecze poeta, anioł przelatywał»
Uczcili wszyscy gościa — nie wszyscy poznali.

V.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

«Tyżeśto i tak późno?» — «Błądną miałem drogę,
 Śród lasów, przy niepewnym księżycu promyku.
 Tęskniłaś? myślisz o mnie?» — «Luby niewdzięczniku!
 Pytaj się, czy ja myśleć o czem innym mogę!

«Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
 Ty drżysz! czego?» — «Ja nie wiem. Błądząc po gajku,
 Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
 Ach! musimy być winni, kiedy czujemy trwogę!»

«Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takim czołem
 Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmieie.
 Przebóg! jesteścież winni, że siedzimy społem?»

Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele,
 I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele!
 Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.»

VI.

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieję,
 Że chociaż sumotnemi otoczeni ściany,
 Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
 Przecież ja oczy spuszcza, a ona lży leje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
 Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
 Któremi ręce związał nam los opłakany.
 Nie wiemy sami, co się w sercach naszych dzieje.

Jestże to ból lub rozkosz? Gdy czuję ściśnienia
 Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia? ---
 Luba! czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
 Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą:
 Luba! czyliż to mogę nazywać rozkoszą?

 VII.

 RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku,
 A na zachodzie księżyc blade lice mroczy,
 Róża za słońcem pączki rozwinięte toczy,
 Fijołek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie. Ukląkłem na ganku;
 Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy,
 «Czemu, rzekła, tak rano smutne macie oczy,
 I miesiąc i fijołek i ty mój kochanku?»

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem.
 Wraca księżyc — twarz jego pełna i rumiana,
 Fijołek podniósł listki orzeźwione mrokiem.

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
 W piękniejszym jeszcze stroju i weselszem okiem.
 Znowu u nóg jej klęczę — tak smutny jak z rana.

VIII.

(Z PETRARKI.)

Senuccio i'vo'che sappi.

Chcecie wiedzieć, co cierpię, rówiennicy moi?
 Odmaluję najwierniej ile pióro zdoła.
 Mary ja dotąd, pośród pamiątek kościoła,
 Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, owdzie zamyślona stoi,
 Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła;
 Tu gniewna, tam posepna, tu znowu wesoła,
 Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,
 Tu usiadła, tam naszej rozmowy początek —
 Stąd biegła, tu na piasku imię moje kreśli,

Tam słówko powiedziała, tu z cicha westchnęła,
 Tam się zarumieniła. — Ach, śród tych pamiątek
 Wiecznie miota się serce i płaczą się myśli!

IX.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
 Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
 Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
 Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
 Lubiała włos zaplatać i zakwiecać skronie;
 Tu obraz jej, malowny w srebrnej fali łonie,
 Łzami nieraz mąciłem zapaleniec młody!

Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte źródle,
 A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
 Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie miłsze burzliwego wieku niepokoje?
 Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele? —
 Wszystko przeszło — ach, czemuż nie przejdą łzy moje!

X.

STRZELEC.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
 Błąkał się strzelec młody. Stał nad strumieniem,
 Długo poglądał w koło i rzecze z westchnieniem:
 «Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki;

«Chcę widzieć niewidziany.» Wtem leci z za rzeki
 Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem;
 Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem:
 Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał i oczy Kaima
 Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
 Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma —

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
 Wtem dojrzał mgłą kurzawy, wzniesioną broń trzymając,
 Bierze na cel, mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.

XI.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

(Z PETRARKI.)

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów i dnia cząstka i owa godzina,
I chwila i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Skąd amorek wygląda i łuczek napina,
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyzna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci pierwsza piosnko nie uczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potem ojezystą powtarzała strona.

Błogosławię ci pióro, którem w czas daleki
Wstawiłem Ją i moja pierś błogosławiona,
W której Laura mieszkała na wicki!

XII.

REZYGNACJA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi:
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha -- że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydną czoła,
 Pamiątkami zatruwa rokosz co go ludzi;
 A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
 Nie śmie z przekwitłym sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
 Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini —
 A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją!

I serce ma podobne do dawnej świątyni,
 Spustoszałej niepogód i czasów kolejną,
 Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIII.

D O

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz; zgubna twa prostota!
 Łękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
 Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
 Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczerłość — jeszcze mi jedna pozostała cnota.
 Wiedz, że niegodny ogień zapalasz w mem łonie;
 Lecz umiem żyć samotny — i po cóż przy zgonie
 Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię rokosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny.
 Tyś dziecko, mnie namiętne przepaliły bole;
 Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole:

Moje, gdzie są przeszłości smętarze i trumny.
 Młody bluszczu, zielone obwijaj topole —
 Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XIV.¹

Poezijo! gdzie cudny pędzel twojej ręki? —
 Gdy chcę malować — za cóż myśli i natchnienia
 Wyglądają z wyrazów, jak z za krat więzienia,
 Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezijo! gdzie twoje melodyjne dźwięki? —
 Śpiewam — ona mojego nie usłyszy pienia:
 Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
 Który w podziemnej głębi rozwodzi swe jęki.

Nietylko dźwięk i kolor — aniołowie myśli —
 Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
 Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana,

I zamiast pieśni znaki niepojęte kreśli:
 Muzyczne znaki pieśni. — Lecz ta pieńś, niestety,
 Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana! —

XV.

Pierwszy raz jam, niewolnik, z mojej rad niewolt;
 Patrząc na ciebie — z czoła nie znika pogoda;
 Myślę o tobie — z myśli nie znika swoboda;
 Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nie raz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
 Nie raz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
 Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda:
 Lecz wtenczas i rokosznej zlorzeczyłem doli.

¹ Z Album p. Piotra Moszyńskiego.

Nawet owę — gdy owę kochałem niebiankę,
 Ileż łez, jaki zapal, jaka niegdyś trwoga,
 I żal teraz na samą imienia jej wzmiankę! —

Z tobą tylko szczęśliwy, z tobą, moja droga!
 Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
 I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XVI.

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiej pieśzcoty
 Truje mi okropnego rozmyślenia chwile.
 Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
 Może — boję się wyrzec — pustoszą zgryzoty?

Luba! i cóżes winna, że twych ocząt groty
 Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
 Zbyt ufalaś mej enocie, zbyt swej własnej sile,
 I nazbyt ognia Stwórcza wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
 Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
 I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze —
 Nie będę mojej żebrać przebaczenia zbrodni:
 Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze!

XVII.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! Nie śmiem budzić. O wdzięczny widoku!
 Jej duch na poly w rajskie wzleciał okolice,
 Na poly został, boskie ożywiając lice —
 Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku,

Dzieńdobry! Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
 Dzieńdobry! Już obraża światłość twe źrenice,
 Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
 Dzieńdobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzieńdobry: lecz twe senne wdzięki,
 Odebrały mi śmiałość. Niech się wprzód dowiem:
 Z łaskawem wstajesz sercem, z orzeźwionem zdrowiem? —

Dzieńdobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
 Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
 Ubierz się i wyjdź prędko — dzieńdobry ci powiem.

XVIII.

DOBRANOC.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
 Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
 Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy.
 Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! — Z każdej ze mną przemówionej chwili,
 Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy;
 Niechaj gra w twojem uchu — a gdy myśl zamroczy,
 Niech się mój obraz sennym źrenicom przynili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
 Pozwól lica. — Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
 Daj mi pierś ucałować — — Dobranoc! — zapięta —

Dobranoc! — Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzaskać!
 Dobranoc ci przez klamkę. Niestety! zamknięta.
 Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

 XIX.

 DOBRYWIECZÓR.

Dobrywieczór! On dla mnie najśłodszym życzeniem.
 Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zaporą,
 Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
 Nie żegnam się, ni witam z takim zachwyceniem,

Jak w tę chwilę wieczornym ośmielony cieniem.
 Ty nawet milczeć rada i płonąć się skora,
 Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
 Żywszem okiem, głośniejszym rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym co społem żyją,
 Objasniać pracę, która ich ręce jednoczy;
 Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z roskoszy kielicha trosk osłodę piją:
 A tym co się kochają i swą miłość kryją,
 Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XX.

DO D. D.

WIZYTA.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża — wpada galonowy:
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wileżą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli nie dość bronią, uciec bym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O przekłety nudziarzu! Ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz, co go czeka ostatnia katusza:
Ty, pleciesz blahe dzieje wczorajszej reduty! —

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza:
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza —
O bogi! Znowu siada, siedzi jak przykuty!

XXI.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem? czytaj rady moje:
Nie dość, wszedłszy, donosić o czem wszyscy wiedzą.
Że dzisiaj tam walczą, owdzie objad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecji rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach a coś złego w oku. —
Wiesz jak ich trzeba witać? «Bywaj zdrów, bądź zdrowa!»
A kiedy ich masz znowu odwiedzić? — Po roku.

XXII.

POŻEGNANIE.

Do D. D.

Odpychasz mię? — Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał! Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! Czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzód nie dał, a ciebie posiadał!

I nie darmo! — Choć skarbów przed tobą nie składał:
Ale mi drogo każda kupiona pieśczota —
Na wagę duszy mojej, pokojem żywota. —
Dla czegoż mię odpychasz? Nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem,
Pochwalnych wierszy chciałaś! — Marny pochwał dymie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
 Gdyś szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem.
 I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imię.

 XXIII.

 D A N A I D Y.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
 Zahaftowane kłosem majowe sukienki,
 Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
 Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze a droższe zapłaty.
 Ta, której złoto daje, prosi o piosenki;
 Ta, której serce daje, żądała mej ręki;
 Ta, którą opiewałem, pyta czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
 Dary, pieśni we łzach roztopioną duszę:
 Dziś, z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
 Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
 Lecz dawniej wszystko dalbym, dziś wszystko — prócz duszę.

XXIV.

E X K U Z A.

Nuciłem o miłośkach w rówienników tłumie;
 Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
 Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
 Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzałe wchodząc lata, przy starszym rozumie,
 Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
 Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
 Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
 Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna
 Ledwiem zaczął przegrywać — aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy. —
 Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy:
 Taki wieszcz jaki słuchacz.

SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

GOETHE, Westoestl. Divan.

TOWARZYSZOM

PODRÓŻY KRYMSKIEJ

AUTOR.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór Oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu —
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam z dala błyszczy obłok, tam jutrzienka wschodzi —
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żurawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską pierśią dotyka się ziola — —
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy! nikt nie woła.

II.

CISZA MORSKA.

Na wysokości Turkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, naksztalt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytechnął, podróźne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesolych żyjętek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony;

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony —

III.

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściej morskie snują się strazydła;
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci —
Wznosi kark, zdeptał fale i wskroś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwytą pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli.
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że piersi moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem.

IV.

B U R Z A.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki —
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć;

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać. —

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM.

Tam! — Czy Allah postawił ścianą morze lodu?
 Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
 Czy Diwy z éwierci lądu dźwignęli te mury,
 Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu? —

Na szczycie jaka luna! pożar Carogrodu! —
 Czy Allah, gdy noc chylał rozciągnęła bury,
 Dla światów żeglujących po morzu natury
 Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu? —

MIRZA.

Tam? Byłem: zima siedzi; tam dzioby potoków
 I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
 Tehnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków.

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
 Minąłem grom drzemiący w kolebce z obłoków —
 Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
 To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAGCZYSARAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Wskroś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami «ruina.»

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu; dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało! —

VII.

BAGCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydzilo się licem rubinowem zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce:
 Śród nich po szafirowym żegluję przestworze
 Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze —
 Piers ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
 Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
 Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa —

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
 Budzi się błyskawica i pędem Farysa
 Przelatuje milczące pustynie błękitu.

 VIII.

 GRÓB POTOCKIEJ.

W kraju wiosny, pomiędzy rokosznemi sady,
 Uwięzł, młoda różo! Bo przeszłości chwile,
 Ulatując od ciebie jak złote motyle,
 Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady —
 Dla czegoż na tej drodze błyszczy się ich tyle?
 Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
 Tam, wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady? —

Polko! i ja dni skończę w samotnej żalobie;
 Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci!
 Podróżni często przy twym rozmawiają grobio:

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci,
 I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
 Ujrzy bliską mogiłę i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU.

MIRZA DO PIELGRZYMA.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
 Wzięto na stół Allaha; tu perełki wschodu
 Z morza uciech i szczęścia porwała za młodu
 Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona:
 Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu,
 Jak buńczuk wojska cieniów i ledwie u spodu
 Zostały dłonią Giaura wryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
 Odkwitnęły dnie wasze pod wstydu liśćiami,
 Na wieki zatajone niewiernemu oku:

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca płami! —
 Pozwalam mu — darujesz o wielki Proroku! —
 On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
 Lasy, doliny, głązy, w kolei, w natłoku
 U nóg mych płyną, giną jak fale potoku:
 Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słuca rozkazów,
 Gdy świat kolory traci pod całunem zmroku,
 Jak w rozbitem zwierciedle, tak w mem spiekłem oku,
 Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma. Skaczę w morskie łona,
 Czarny, wydęty bałwan z lukiem na brzeg dąży,
 Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okraży:
 Czekam, aż myśl jak łódka wirami kręcona,
 Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pograży. —

 XI.

 AŁUSZTA W DZIEŃ.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
 Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
 Kłania się las i sypie z majowego włosa,
 Jak z różańca Chalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty:
 Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
 Baidachimem z brylantów okryły niebiosą;
 Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda się łyśa,
 Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi:
 W jego szumach gra światło jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi;
 A na głębinie fala lekko się kołysa,
 I kąpią się w niej floty i stada labędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolniej posucha;
 Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
 Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów,
 I gaśnie. Błądny pielgrzym ogląda się, słucha.

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
 Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów;
 Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
 Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty:
 Wtem budzą mię rażące meteoru błyski,
 Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty! —

Nocy wschodnia! ty nakształt wschodniej odaliski,
 Pieszczotami usypiasz, a kiedym snu bliski,
 Ty iskrą oko znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

MIRŻA.

Drząc, mużlimin całuje stopy twej opoki,
 Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
 O minarecie świata! o gór Padyszachu!
 Ty nad skały poziomu ucieklszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabriel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu,
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy:
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

 XIV.

 P I E L G R Z Y M.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice:
Dla czego stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety! — jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniej tve szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice;
I wesłszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy!

Tak daleki — tak różna wabi mię ponęta! —
Dla czegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Dejąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta? —

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W DŻEHUD-KALE.

MIRŻA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica:
 Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
 Dzielny koń! Patrz jak staje, głąb' okiem rozmierza,
 Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca,

I zawisnął. — Tam nie patrz! Tam spadła źrenica,
 Jak w studni Al-Kahyru o dno nie uderza.
 I ręką tam nie wskazuj: nie masz u rąk pierza —
 I myśli tam nie puszczaj: bo myśl, jak kotwica

Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębin,
 Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci,
 I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu. —

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
 Tam widziałem — com widział, opowiem — po śmierci:
 Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

XVI.

GÓRA KYKYNEIS.

MIRŻA.

Spojrzyj w przepaść. Niebiosa leżące na dole —
 To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
 Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
 Roztoczył kręgiem, szerszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole:
 Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!
 Z jej piersi na pół świata spada noc ponura. —
 Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?

To jest piorun! — Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
 Musim wąwoz przesadzić w całym konia pędzie.
 Ja skaczę; ty, z gotowym biczem i ostrogą —

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
 Jeśli tam pióro błysnie — to mój kołpak będzie;
 Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

 XVII.

 RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.

Te zamki połamane w zwałiska bez ładu,
 Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
 Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie;
 W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
 Jest i napis: to może bohatera imię,
 Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzemie,
 Obwinione jak robak liściem winogrodu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
 Sąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza,
 I Mekkański przybylec nócił pieśń namaza:

Dziś sępy czarnem skrzydłem oblatują groby —
 Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
 Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żaloby.

XVIII.

A J U D A H.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
 Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
 Ścisnąwszy się, buchają — to jak srebrne śniegi,
 W milionowych tęczach kołują wspaniale,

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
 Jak wojsko wielorybów zalegające brzegi —
 Zdobędą ląd w tryumfie i napowrót zbiegi,
 Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o pocto młody!
 Namiętność często groźne wzburza niepogody:
 Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
 I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
 Z których wieki uplotą ozdobę twych skrom.

POWIASTKI I BAJKI.

POPAS W UPICIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE.)

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica;
Dzisiaj miasteczko lice: jedna w niem kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskiej siedziby.
Gdzie były rynki ludne, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach; na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.
Trzech było. Pierwszy starzec z pośrebrzanym włosiem;
Na łbie konfederatka rzucona ukosem;
Wąs augustowski; żupan, dzisiaj popielaty;
Trudno odgadnąć, jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. — Obok siedział młody,
We fraku z samodziału, krojem nowej mody;
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się z pływającym u buta kutasem,
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: «Hejno! dobra nasza bez marjasza!

Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?
 Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
 Że jak tylko Siciński na smętarz odjedzie,
 Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż, sąsiedzie?»
 Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.
 Siciński? i w Upicie? Imię strasznej sławy!
 «O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
 I o jakim Sicińskim?» Na to kontuszowy:
 «O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiodeć.
 Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
 Był zamek nieboszczyka; przytem imion wiele,
 Konneksye potężne, mnogie klientele,
 A stąd éna popleczników i kresek bez liku:
 Siciński był dyktator na każdym sejmiku!
 Starszych i zasłużeńszych patrycjuszów shasał.
 Ale nie dosyć na tem: na wyższe się kasał.
 Poczęła też kluć w oczy zbyt rogata duma;
 Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma.
 Bo gdy pewny wyboru, posłem się ogłasza,
 Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza,
 I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi:
 Liczą turnum — Siciński padł na cztery nogi! —
 Agitatus furiis et impotens irae,
 Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
 Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna;
 Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
 Łyka plebs; w tem blekotem zaprawione męty
 Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty;
 Dalej kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
 Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel —
 Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
 Tros Rutulusve fuit, wszyscy się wysiekli.
 Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
 Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
 Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,
 Expirans flammas: straszna lecz słuszna pokuto!»
 «Amen!» rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
 Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,

I chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać nagą,
 Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
 Że Pan Marszałek z którym on do stołu siada,
 I u którego książek niezmierna gromada,
 Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawsze mówi:
 On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

Z tych słów Marszałka głowa ekonomiczna wniosła,
 Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła:
 Że musiała być wojna — przeciw komu? kiedy?
 Trudno zgadnąć: zapewne z Turki albo Szwedy;
 Pewno Siciński Króla do Upity zwabił,
 Oddał w ręce najeźdźcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła
 Zezem nań spojierając: «Nie dobrze — zawoła —
 Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
 Jeśli wam opowiem jako najlepiej świadomy:
 Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
 Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
 Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary;
 Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
 Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.
 Chociaż mu nieraz Biskup listami zagrażał,
 Choć go wyklął z ambony: Siciński nie zważał,
 W Święto Bożego Ciała, pod samo południe,
 Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię:
 Dokopał się swej zguby i powszechnej szkody!
 Bo z owej studni tyle wybuchnęło wody,
 Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
 Zarosły w paproć — łąki poszły w trzęsawice!
 Sicińskiego, jak słusznie Pan Sędzia namienił,
 Piorum zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.
 Trup, kłątwą uderzony, dotąd cały stoi:
 Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.
 Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,
 Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku;

Jego nieraz dziad jaki, uniosłszy z smętarza,
 Wlece w szabas do karczmy straszyc arendarza.»
 Skończył, i drzwi stodoly odemknął. Tam stało
 Szkaradne starożytne nieboszczyka ciało.
 Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
 Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
 Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
 Usta wysute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci.
 Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
 Postać ludzką od żywej nie zbyt różną chowa,
 Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
 A jako na powierzchni starego obrazu,
 Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
 W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać.
 Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
 Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
 Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,
 Czego żadnemi słowy nie podobna wydać.
 Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
 Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
 Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
 Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
 Barki na dół pochylił, głowę na pierś zwisnął;
 Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
 Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
 I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
 Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
 Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
 W gruzach daje odgadnąć, czym była domem;
 Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie:
 Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pociście niezgodni?
 On był nie jednej winien, ale wszystkich zbrodni;
 Jego trucizną naród zdurzony oszalał —
 On królom ręce związał, kraj kłękami zalał!

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
 Popiół, którym zaledwie iskra prawdy tleje;
 Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
 Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
 Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany
 Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
 Godzien śmiechu uczonych. — Lecz nim się zaśmieje,
 Niechaj powie uczony: czem są wszystkie dzieje? —

Odessa, roku 1825.

KRÓLEWNA LALA I KRÓL BOBO¹.

Za czarnem i sinem morzem był kraj zbyt cudny,
 Obfity w łąki i w mąki, rybny i ludny,
 A panował tam król Bobo, wielki wojownik,
 A niedosyć że wojownik, lecz i czarownik.
 Szanowali go poddani i królę bliskie,
 I najdalsi monarchowie i kraje wszystkie.
 Więc król Bobo w sławie jaśniał, w skarby opływał,
 Wszelkiego bożego dobra wesół używał,
 Nie nie robiąc, wcześniej chodząc spać, późno wstając,
 Całe dni polując, pijąc, tańcząc, hulając,
 Od jednych do drugich swych ziem przejeżdżając.
 Pałaców trzysta sześćdziesiąt sześć wybudował,
 By każdego dnia w pałacu innym nocował.
 Słowem, od początku świata do owej doby,
 Nie było na świecie pewnie żadnej osoby,
 Ani też będzie szczęśliwszej od króla Boby.

Męskiego potomstwa nie miał król Bobo wcale,
 Tylko jedną miał córeczkę, na imię Lalę,
 Cudnego rozumu, cudnej urody.

¹ Z rękopisu, niedokończone.

Jak była najrozumniejsza, najurodziwsza,
 Tak ze wszystkich panien była najnieszczęśliwsza.
 Czyli rodziła się pod gwiazdą złą w czarnym roku,
 Czy ją kto zaczarował w jakim uroku:
 Nikt nie wiedział, ni powiedzieć umiał królownie;
 Tylko że jest nieszczęśliwa, wiadano pewnie,
 I że we dnie i w nocy płakała rzewnie.
 I było też czego płakać i czego szłochać,
 Bo się żaden z kawalerów nie chciał w niej kochać.
 Przyjeżdżali królowice z dalekich stolic,
 Odwiedzali ją książęta z bliskich okolic,
 Nikt się wdziękom jej dowoli nie mógł napatrzyć;
 Ale nikt się o jej rękę nie chciał oświadczyć.

Tymczasem królowna Lala rośnie a rośnie.
 I nie mogąc dostać męża, wzdycha żałośnie.
 Gdy nie stało kawalerów koronowanych,
 Rada była pójść za kogo z książąt poddanych;
 Swatała się przez swą ciotkę i przez stryjenkę,
 Trzem z kolci obiecała posag i rękę.
 Każdy za tak wielką łaskę kłaniał się wdzięcznie,
 I każdy się od wesela wykręcił zręcznie.
 Jeden mówił, że wprzódym nim wstąpi w małżeństwo,
 Pojedzie sam uwiadomić swoje rodzeństwo,
 I prosić rodziców o błogosławieństwo.
 Siodła konia, z krajów Boba jedzie co prędej
 I tyle go też widziano — nie wrócił więcej.
 Drugi już się przyrzekł żenić: tylko uprosił,
 Aby wprzód po zmarłym ojcu żałobę znosił.
 Gdy ją znosił, przyszły druchny po pannę młodą —
 A pan młody zniknął kędyś, jak kamień w wodę.
 Słowem, każdy pan innego szukał pozoru;
 Aż po jednym tak uciekli wszyscy ze dworu:
 Gdzie jechali, powiadali: że pannę Lalę
 Szanują, i wielbią, i cenią, ale
 Do żenienia się z nią serca nie mają wcale.
 Dla czego serca nie mają? nie wiedzą sami:
 Panna z tylu przymiotami! i z bogactwami!

I królestwo ma w posagu! Piękne to rzeczy;
 Rozum każe w niej się kochać: a serce przeczy.
 A było to w owych czasach, gdy jeszcze ludzie
 Nie wiedzieli o dzisiejszej brzydkiej obłudzie:
 Nie rozumieli, że można pannę nie lubić,
 A przecież ją dla pieniędzy tylko zaślubić,
 A tak i swe i jej serce na wieki zgubić —
 A więc woleli panowie iść na wygnanie,
 Anizeli bez kochania na królowanie —
 Woleli iść na wygnanie o wolnem sercu,
 Anizeli bez miłości stać na kobiercu.

Tymczasem królowna Lala rośnie a rośnie;
 Dotąd za mąż nie wydana, wzdycha żałośnie:
 «Każda panna z mego dworu, każda poddanka,
 Czy prostaka, czy pastucha, znajdzie kochanka;
 Ma towarzysza, ma dziatki. Ja tylko biedna
 Bez towarzysza, bez dziatki, zostanę jedna,
 I nie będzie komu po mnie zapłakać szczerze,
 I za moją duszę codzien zmówić pacierze!» —

Tak płaczącej Pannie Lali przyszła myśl dzika,
 Ażeby pójść wreszcie za mąż choć za kuchcika.

Właśnie wtenczas, przed oknami, chłopiec nie wielki,
 Oszarpany, umurzany, płukał rądelki.
 «Pójdź kuchciku, posłuchaj, co powiem tobie:
 A ja cię dziś najszczęśliwszym człowiekiem zrobię.
 Najprzód rądle rzuć do licha i bieź w krynicę
 Umyj dobrze i wyszoruj piaskiem twe lice,
 I ręce zmywaj póty, aż będą czyste —
 Potem przyjdź, a ja ci dam suknie uroczyste,
 Dam ci kapelusz z piórami, ostrogi srebrne,
 Złota kieskę, tudzież inne sprzęty potrzebne.
 Za to złoto kupisz w mieście rumaka z rzędem,
 Na nim wielką bramą w zamek wbież wielkim pędem;
 Udasz się przed królem ojcem moim za księcia,
 A ja dokażę, że ciebie weźmie za zięcia.»

Gdy królowna tak mówiła, kuchta drżał z trwogi,
 Potem jak stał, tak jej upadł plackiem pod nogi —
 I podniósłszy głowę z płaczem wołał: «Ah, czemu
 Tak żartujesz, tak urągasz mnie chłopcu biednemu?»
 «Głupi kuchto, rzekła Lala, same gołąbki
 Upieczone lecą z nieba tobie do gąbki!
 Jeżeli nie zrobisz głupcze, co ci kazałam,
 To nie odżałujesz tego twem życiem całym.»
 «Ah królowno Lalo moja! — kuchcik zawołał —
 Choćbym chciał zrobić co każesz, tobym nie zdołał.
 Nie wiesz, co to lata młode przeżyć sierotę;
 Nie wiesz, co to być kuchcikiem! Pytaj mnie o to! —
 Z rana trzeba iść do lasu łamać gałąski,
 Zgarbiwszy się składać w kupę i wiązać w wiązki,
 I na plecach nieść do domu, a tak się silić,
 Że się trzeba aż do ziemi jak dęga chylić.
 Pod ciężarami nie mogłem wyrość na człeka,
 Lecz jak źrebię zajeżdżone jestem kaleka.
 Chociażbym do dworu wyjechał na koniu wielkim,
 Poznaliby wszyscy, że jest lichym karzelkiem.»
 «Nic to, rzekła królowna, jest na to rada:
 Powiedz, że ty jesteś rodem z kraju — o, lada —
 Stoi w książkach, że jest kędyś kraik malutki,
 Którego obywatele zwą się karlutki;
 Powiedz, żeś ty syn królewski z tamecznej ziemi.
 Królowie, czy są wielkimi czyli małymi,
 Czy prości, czyli garbaci, są równi sobie.»
 Kuchta na to: «O królowno! cóż nędzny zrobię?
 Patrzo tylko na mą postać, na ręce moje:
 Czyli będą mnie do twarzy książęce stroje?
 Od rana do nocy muszę kręcić pieczenie,
 Aż jak pieczeń tak spaliły twarz mą płomienie;
 Wieczorami rądle myję, aż dłoń stwardniała,
 I patrz, z rąk mych aż do łokcia zlazła pobiała.»
 «Nic to, rzekła mu królowna; mów przed niemi,
 Że ty jesteś syn królewski z murzyńskiej ziemi:
 Wiadomo nam, jak tam słońce oblicza smali;
 Królowie są wszyscy równi: wy czarni, my biali.»

Dopiero to słysząc aż stracił mowę,
 I zadziwił się tak mocno, aż zaszedł w głowę,
 Włosy targał, ręce łamał, nogami tupał,
 A zębami zgrzytał jakby orzechy chrupał.
 Płakał coraz głośniej, że aż Lalę przeleknął:
 W końcu dostał serdecznego śmiechu i jęknął.

— — — — —
 — — — — —

GOLONO, STRYŻONO.¹

U nas, kto jest niby chory
 Zwoluje zaraz doktory:
 Leczą czując się bardzo słaby,
 Prosi chłopca albo baby.
 Ci, ze swego aptekarstwa,
 Potrafią i podagrze,
 I chiragrze i głuchotom,
 I suchotom i głupotom
 Radzić — a i u nich wszakże,
 Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
 Któremu zginęła suka,
 Straż domowstwa i śpichlerza.
 Gdy jej z żalem i kłopotem
 W okolicy całej szuka,
 Wróciła się w tydzień potem.
 Ledwie poznał, że to ona:
 Bo była wpół ogolona.

¹ Z rękopisu.

«O zbóje! żeby ją skryli —
 Używając takich figli
 Że biedaczkę wygolili!» —
 «Powiedz raczej, że ostrzygli
 — Robi mu uwagę żona —
 Bo psów nie golą lecz strzygą.»
 «A no patrzajcież bo mi go
 — Odezwie Mazur z przekąsem —
 Jaka ty mi dyć uczona!
 Mając gołe jak pięść lice,
 Chcesz nauczać nas pod wąsem
 Co jest brzytwa, co nożyce?
 A nasz pan, co mu łysina
 Przyświeca się jak ta psina,
 Myślisz, że jest postrzyżona?» —
 «A wąsiki ekonoma,
 — Odpowiada zaraz żona —
 Co mu wiszą jak u sosny,
 A błyszczą jak namaszczone,
 Sąż golone czy strzyżone? —»
 «Bierz ci licho twego pana,
 I pana i ekonoma;
 Dobrze, że suka jest doma,
 Choć tak szpetnie ogolona.»
 «Toć i jam się ucieszyła
 — Odpowiada zaraz żona —
 Że się suka powróciła
 Choć tak szpetnie ostrzyżona.»
 «Głupiaś z twemi nożycami!»
 «I ty z twojemi brzytwami! —»
 «Że golona, przypatrz że się!»
 «Że strzyżona pokaże się. —»

Tak się klóćą mąż i żona;
 Miasto Zgierz całe się zbiega,
 A krzyk w koło się rozlega:
 Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: «Niechaj przyjdzie,
 Niech się wpatrzy i przekona»
 Idzie żyd: «Powiedz-no, żydzie,
 Czy golona? czy strzyżona?»
 Od żyda aż do plebana,
 Od plebana aż do pana,
 Sprawa zapieczętowana;
 Co sąsiad i żyd dowodził,
 Na to się ksiądz i pan zgodził:
 Że wygrała męska strona,
 Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
 Po drodze chłop pyta żony:
 Czy wyroku treść pamięta?
 Ona milczy jak zakłęta.
 U progu suka ich wita:
 «Pójdź tu moja ogolona!»
 Woła mąż. A kobieta:
 «Pójdź tu moja ostrzyżona.»

Mazur wściekły już nie gadał,
 Ani żonie odpowiadał;
 Tylko wzięwszy pod rękawki
 Wlecze ją wprost do sadzawki,
 I topi jak kadź ogórków.
 Ona, nie nawykła nurków,
 Już się zachłysnęła nieraz;
 On, trzymając za ramiona,
 Gnębi, krzyząc: «A no teraz:
 Czy golona, czy strzyżona?
 Biedaczka, ze śmiercią w walce,
 Czując skonu paraliże,
 Wytknęła tylko dwa palce,
 I na odpowiedź palcami,
 Jakby dwiema nożycami,
 Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody.
 Ona poszła do gospody;
 On się puścił aż do Zgierza,
 I tam przystał za żołnierza.

P A N B A R O N. ¹

Gdzie dobrze, tam ojczyzna. A gdzież kiedy było
 Komu lepiej, gdzie kiedy komu się przyśniło
 To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa?
 Przychodzień, dóbr książęcia jak swoich używa,
 I wkrótce pojmie wdowę, panię dóbr, za żonę;
 A z nią księstwo i hrabstwa dwa uksiążęczone,
 I ten zamek wspaniały, tak sławny z piękności
 Po świecie całym, że doń co rok mnóstwo gości
 Z Anglii, z Niemiec, z Polski, przybywa tłumami,
 Jakby na miejsce jakie słynące cudami.

Nie dziw tedy, że Baron, budząc się w pościeli
 Edredonowych puchów, miększej od kąpieli,
 I z za kotar indyjskich wychylając głowę,
 Powitał temi słowy słońce południowe:
 «Gdzie dobrze, tam ojczyzna!» Już ruszył nawiasem
 Wstęgię tkaną z jedwabiu ze złotym kutasem.

Na ten ruch, jak na laski czarodziejskiej zamach,
 Zaraz we drzwiach pokoju zabłysło, jak w ramach
 Obrazu zakłętego, wojsko malowane
 I w cichości na całą rozlało się ścianę.
 Żywe a nieruchome i tylko z wyrazu
 Oczu i twarzy widać, że czeka rozkazu

Służba niemiecka. Wszystko we fraki ubrane
 Czarne, białe pończoszki, glansowne trzewiki,
 W ręku trzymają lustra, brzytwki, ręczniki.
 Baron dał rozkaz, służba rzuca się. Dwaj pазie
 Niosą bieliznę czystszą niżli śnieg na głazie.
 Gdy ją Baron przywdziewa, z przodu go osłania
 Dwóch pokojowych suknią indyjskiego tkania,
 Gdzie złotych kwiatów więcej lśni niż na ornacie;
 Baron zwykle zaczyna ranek w takiej szacie.
 Gdy ją włożył, to znak jest, że z łoża powstaje:
 I wnet mu pochyleni do nóg dwaj lokaje
 Podścielają meszt parę z marokińskiej skóry,
 Mających i barwistość i świeżość purpury;
 A każda z nich złocistą naszywana gwiazdą.
 Stąpa, do nich wślizga się lekko jak ptak w gniazdo,
 I po kobiercach cicho, jako łyżwa lekka,
 Płynie ku stolikowi, gdzie go kawa czeka.

Kamerdyner lał kawę. Murzyn z lewej strony
 Trzymał nabitą lulkę i lont zapalony;
 Za danym znakiem, ogień podłożywszy chybko,
 Skłonił się z dwusąźniową ku panu antybką,
 Na której końcu bursztyn, wielkości ogórka,
 Pełen drogich kamieni, jak zawój u Turka.
 W teże chwili znów z tyłu inny pokojowiec
 Stając, safiauowy rozwijał pokrowiec
 Angielski, zeń nożyczki dobył; temi krzesze
 Podbródek Baronowi i szyldkretem czesze,
 I ręką muszce, pełną utłuszczonej farby;
 Potem, żeby włos ująć w należyte karby,
 Chustką je opasuje, która uwikłana
 Na szczycie głowy w węzeł naksztalt tulipana.

Baron hawańskich dymów z bursztynu snuł smugi,
 Naprzód w górę przed siebie, potem w dół na sługi.
 Ci ze znaków pojmosferać wolę pana zwykli,
 Drzwiami, kędy w cichości weszli, tędy znikli.

On został sam dumając, a w bursztyn grał ciągle,
 Puszczał dym to krągło, to znów w półokrągłe.
 Rozwałęsa jego w tych dymach się błaka
 Samotna i ponura myśl nakształt pająka:
 Lecz widno, że gdzieindziej myśl, gdzieindziej dusza.
 Bo z ust, któremi puszcza dym i ledwie rusza,
 Wyszedł i głos i słowa i zdania: lecz rzeczy
 Trudno w nich znaleźć, jedno drugiemu więc przeczy.
 Naprzykład takie słowa: «Gdzie mi dobrze będzie
 Tam i ojczyzna moja, tam dom — — — —
 W domu lepiej — — — — —
 Sława! Chleb to grunt, a sława zabawa! —
 Mądry baron po szkodzie! Żyj, pókiś na świecie;
 Po mnie, niech spadnie niebo i skowronki zgniecie!»
 I tym podobne zdania — — —
 A każde zdanie jego mięszało się z dymem.

Z takich to tęczowatych rozmyślań wytrąca
 Mrok, spadający nagle jak zaćmienie słońca.
 Baron uczuł, że mu się po za skronie wije
 I oczy ściska dwoje rączek: zgadnął, czyje.
 Westchnął; puszcza z ust bursztyn, którego świecidła,
 Jak puszczone z dziecięcej słonki bańka mydła,
 Błysnęły i zagasły cicho na kobiercu
 Podłogi. On prawicę położył na sercu,
 A lewą koło głowy lekkuchno wychyla,
 Jak chustką, którąby ktoś odpędzał motyla,
 Aż nakoniec milezenie przerwał ciężkim jękiem,
 Potem głosem cichutkim, jak komara brzękiem:
 «Ach, ach, jeśli mi szczęście zawiera powieki,
 W kształcie nocy — ach, niechże ta noc trwa na wieki,
 Jeżeli fala, która w nicość nas zagłębia,
 Ma tę świeżość i ten puch skrzydełek gołębia:
 Niech umrę teraz, niech zniknę!» — Lecz wzdychając zniżał
 Głowę i prawie aż do kolan ją przybliżał.
 Wtem jedna z rączek, co mu więziła powieki,
 Rozsunęła się zwolna jako obłok lekki.

Baron, podobien temu, co się cuci z mdłości,
 Wydobywał wpółsenne oko z tych ciemności,
 Aż dojrzał śród nich postać, która jak królowa
 Nocy, wdzięki swe w szatach zaciemnionych chowa.
 Suknia długa i czarna; nad głową się sępi
 Czarny kapelusz i w krąg strusie pióra strzępi.
 Była to księżna, w stroju, który zwykle służy
 Wielkim paniom niemieckim do konnej podróży.
 W rękę trzymała biczyk z szyldkretowym prętem,
 Którego skówkę gryzła strojną dyamentem.

Temi rzeczami gdy się bawił, lokaj włata
 Z krzykiem: «Hofrat oznajmia wizytę!» —
 Wszedł człek półwieczny, twarzy poważnej, w ubraniu
 Podróżnem, z biczem w rękę, jakby na wsiadaniu.
 Dawny znajomy, krótko witał się z Baronem,
 Dorywczem rąk ściśnieniem i lekkim ukłonem.
 Baron przysunął krzesło ręką i pół głową
 Ukłoniwszy się — Hofrat skłonił się na nowo.
 Usiedli — milczą oba. Jegomość się krząta
 Służbą. Lokaj w milczeniu pośpiesza do kąta,
 Gdzie, naksztalt hodowanych w donicy cebulek,
 Wschodnich kwiatów, sterczały główki wschodnich lulek:
 Bursztynowe, natkane w stolik cyndałowy.
 Lokaj wybrał z nich cybuch półtrzecia łokciowy,
 Nasadził piętę, nabił, zapalił i wtyka
 Cybuch w usta Hofrata, a sam jak wszedł, znika.

Siedzą tedy i palą. Owaj przyjaciele,
 Gdy się zejdu i gdy są oba marzyciele,
 Mogą razem przemyślać i przegadać wiele,
 Nie siląc się na słowa. Taż myśl, co i w gwarze
 Głosów brzmi, może równie przemawiać i w parze.

Hofrat zaczął dąć szybko i dym rączo ciskał,
 Który szercząc się, w górze jak wodotrysk pryskał.

Naprzeciw Baron, z nsty wszere rozciągniętemi,
 Jak gdyby ze skalistej rozpadliny dymi.
 Fala poziomo w pół izby zawisa,
 I nad głowami jako oblok się kołysa.

Zdziwiło to Hofrata; cybuch spuścił na dół,
 I czystem z pluc ciągnionem powietrzem się nadał;
 Potem z taką siłą dmuchnął w dymu środek,
 Że go rozbił i zrobił w nim jasny obwodek,
 Przez który odkryło się nieco dno sufitu,
 Jak nad rozstępującą się mgłą krąg błękitu.
 Taką przygotowawszy dla oczu widownię,
 Pochwycił znowu cybuch, pociągnął gwałtownie,
 I cały przepędziwszy dym przez ust naczynie,
 Puścił z nich jedną kulę, wielką jako dynię.
 Podniosła się wspaniale i środkiem obłoku
 Dążyła do sufitu. A wtem Baron z boku
 Wystrzelił ku niej bańką małego rozmiaru —
 Lecz kręciła się szybko, jak kula bilarnu;
 Ta dopędza wnet banię, swym obwodu brzegiem
 Trąca ją, aż obiedwie wstecznym poszły biegiem.

Cichym uśmiechem Hofrat dał poklask tej sztuce,
 A tymczasem gotował i cybuch i pluce.
 Nakoniec rozwarł usta; widno, jak w ich głębi
 Dym długo gromadzony warzy się i kłębi
 I przy brzegach ust krążąc ciasno je obwieńcza;
 Aż się zerwał i wyszedł w świat nakształt obręcza.
 Kręcąc się przed obliczem Barona zawiesza,
 I już się ma rozplłynąć, gdy Hofrat pośpiesza
 Podeprzeć go obręczem drugim, mniejszym nieco,
 Za którym trzeci, piąty, dziesiąty, wciąż lecą —
 Z obręczy wnet tworzy się postać ostrokręga,
 Który końcem gardzieli Hofrata dosięga,
 A podstawą wprost przeciw Baronowi mierzy.
 Wzdrygnął się Baron, zdumiał, ledwie oczom wierzy,
 Żeby ktoś w Niemczech zdołał wydać arcydzieło,
 Któreby u fajkarzy chińskich poklask wzięło;

Chce godnie odpowiedzieć i za jednym technieniem
Ów ostrokrag spaja takim zokrągleniem,

DZWON I DZWONKI.¹

Dzwonki razu jednego świergotaly z wieży
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:
«Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?»
«O głośni braciszku! — dzwon smutny zaszeptał —
Dziękujcie Plebanowi, że mię w piasek wdeptał.»

PCHŁA I RABIN.

Pewien Rabin, w Talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszył:
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżkę:
«Daruj, Rabinie, mądrymu nie godzi się gniewać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!»
«Krew za krew! — wrzasnął Rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje:
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz.» —
Zakończył i gdy więźnia bez litości dławi,
Pchła konając pisnęła: «A czem żyje Rabi?»

¹ Wszystkie następne bajki, z wyjątkiem dwóch przedostatnich, ogłoszone tu po raz pierwszy drukiem, w części z pośmiertnych papierów, w części z album p. Piotra Moszyńskiego. P. W.

PRZYJACIELE.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
 Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
 Tam żył Mieszek kum Leszka i kum Mieszka Leszek,
 Z tych co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.
 Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
 Ziarnko dzielili na dwoje;
 Słowem, tacy przyjaciele,
 Jakich i wtenczas liczono nie wiele:
 Rzekłbyś dwój-duch w jednym cielem.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
 Kiedy gadali, łącząc swoje czule mowy
 Do kukań zyzul i krakań gawronich:
 Alić ryknęło raptem coś koło nich.
 Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
 Mieszek tej sztuki nie umie,
 Tylko wyciąga z dołu ręce: «Kumie!»
 Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
 Zbladnąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy,
 Trafia na czoło, maca: jak trup leży —
 Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
 Więc mruknąwszy ze wzgardą odwraca się w knieje,
 Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
 Dopieroż Mieszek odżył. — «Było z tobą krucho!
 — Woła kum — szczęście Mieszku, że cię nie zadrapał!
 Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
 Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?»
 «Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowie niedźwiedzie:
 Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.»

ZAJĄC I ŻABA.

(Z LAFONTAINA.)

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
 Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
 Teraz podupadł na nogach,
 Poczul, że się źle z nim skończy;
 Więc jęknął z głębi serca: «Ah, nie masz pod słońcem
 Lichszego powołania jak zostać zającem!
 Co mię w dzień pies, lis, konik, kania,
 I wrona,
 Nawet i ona,
 Jak chce tak gania!

A w noc gdy drzemie, oko się nie zmruża,
 Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,
 Wnet drży me serce zającze,
 Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
 Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem —
 Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
 Żegnaj więc miedzo, lat mych wiosnianych kolebko!
 Wy kochanki młodości, kapusto i rzepko,
 Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić!
 Oznajmuję wszem wobec, że się idę topić!»

Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,
 Po drodze stąpił na żabę.

Ta mu, jak raca, drgnąwszy z pod nóg szusła
 I z góry na łeb w staw plusła.

A zając rzekł do siebie: «Niech nikt nie narzeka,
 Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzku stoi!
 Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
 I swojego zająca, którego się boi.»

KOZA, KÓZKA I WILK.

(Z LAFONTAINA.)

Sąsiadka koza, ta co to rozwódka,
 Z rodu Ostrorożanka, a tak rześka czołem,
 Że umie łeb na łeb rozmówić się z wołem,
 I nie da lada wilku brać się do podbródka,
 Wczoraj w las idąc zbierać na domu potrzebę
 Rokitę czy lipią skórkę,
 Na gospodarstwie zostawiła córkę,
 Której jest na imię Bebe.
 A że młodym osobom pod niebytność matki
 Rozliczne grożą przypadki,
 Nakazuje dziecku srogo:
 «Nie ruszać mi za próg nogą
 I nie przyjmować nikogo — nikogo.
 Jest tu wilk w okolicy — mam go w podejrzeniu,
 Że zamyśla o czem brzydkim;
 Pilnujże drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,
 Wołając cię po imieniu:
 Bebe! Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,
 Niż gdybyś miała kiedy być przysłowiem trzodzie:
 Mądra koza po szkodzie.»

O wilku mówiono w izbie
 A wilk tuż siedział na przyźbie;
 Podśluchał. Matka z domu, a on wnet do córki:
 Stuk i puk we drzwi komórki.
 Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi;
 Lecz gdy prosić ma potrzebę,
 Nieźle udaje śpiew kozi;
 Więc jako mógł najkoziej odezwał się: «Bebe!
 Otwórz!» A kózka na to: «Przepraszam: nie można.
 Mamy nie masz, jestem sama.»
 On znowu: «Bebe, otwórz, to ja, mama»
 Na to znów kózka ostrożna:

«Głos wprawdzie matczyn; ale czyś ty matka
 Jak mogę wiedzieć, gdy zamknięta klatka?
 Podejdźże tu i przez to pod progiem korytko
 Pokaż mi na znak kopytko.»

Wilk odszedł, klnąc Bebe i mać jej z ruska brzydka

Ta bajka jest po całym świecie znana z treści;
 Lecz żeby ją dać poznać polskiej płci niewieściej,
 Udawajmy, że wzięta z francuskiej powieści.

1830.

KRÓL CHORY I LISY.

«Na ukaz Jego Lwiej Mości
 «Dany do nas (z Jaskiniewska
 «Zbójskiego, gdzie w słabości
 «Zdrowia ma Jego Królewska
 «Mość pobyt) do gabinetu
 «Ministrów, My, z ich kompletu
 «Zamianowani być przy Nim
 «Na służbie, wiadomo czynim:
 «Po pierwsze: Z obywatelstwa
 «Drapieżnego, tudzież stanu
 «Bydlego, wybrać poselstwa
 «Z tem: iżby w skutek uchwały
 «Powiatów, one udały
 «Się, Najjaśniejszemu Panu
 «Życzyć, w najpoddańszy sposób,
 «Co jak najdłuższego życia.
 «Powtóre: posłów brać z osób
 «Zaszczytnie nam znanych z tycia.
 «Dan: rezydencya letnia
 «Jaskiniewsk, 1^{so} kwietnia.
 «Przyczem, Ministra rozkazem,
 «Postanowiono zarazem,

«Posłom z ich towarzyszami,
 «W tej podróży nadzwyczajnej,
 «Kazać jechać z paszportami
 «Ze Lwiej Kancelarji tajnej;
 «Zaczem: niech się nikt nie waży,
 «Ani z policyjnej straży,
 «Ani nawet z dygnitarzy,
 «Posła ukąsić lub drapnąć,
 «A tym mniej w pół drogi capnąć.»

Na ten rozkaz ode dworu,
 Baraństwo, tudzież stan ośli
 Pierwsi sejmikować pošli;
 Pilnując się onych toru,
 Wszyscy inni z pól i z borów
 Zgromadzić się mają dzisiaj;
 Tylko jedna giełda lisia
 Wstrzymuje się od wyborów.
 Skądże im ta taktyka i co jej powodem?
 Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.
 «Uważam, rzekł, dawno trop wszelkiego zwierza
 Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem.
 Że pełno zewsząd śladów ku Monarsze zmierza,
 Ale żadnego nie widać z powrotem.»

1831.

LIS I KOZIEŁ.

Już był w ogródku, już witał się z gąską:
 Kiedy skok robiąc wpadł w beczkę wkopaną,
 Gdzie wodę zbierano;
 Ani pomyśleć o wyskoczeniu.

Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko,
 Studnia na półczwarta łokcia:
 Za wysokie progi
 Na lisie nogi;
 Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznokcia.
 Postań się teraz w tego lisa położeniu!
 Inny zwierz pewno załamałby łapy
 I bił się w chrapy,
 Wołając gromu, ażeby go dobił:
 Nasz lis takich głupstw nie robił;
 Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
 Zawsze maca w koło zębem,
 A patrzy w górę. Jakoż, wkrótce ujrzał kozła,
 Stojącego tuż nad zrębem,
 I patrzącego z ciekawością w studnię.
 Lis wnet spuścił pysk na dno, udając że pije;
 Cmoka mocno, głośno chlepcze
 I tak sam do siebie szepce:
 «Oto mi woda! Takiej nie piłem jak żyję!
 Smak lodu, a czysta cudnie!
 Chce mi się całemu splukać,
 Ale mi ją szkoda zbrukać —
 Szkoda!
 Bo co też to za woda!»
 Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
 «Ej! krzyknął z góry, ej ty ryży kudła,
 Wara od źródła!»
 I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
 A z rogów na drąg — i w nogi.

1831.

TRÓJKA KONI.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
 Miał trójkę koni.
 Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
 Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.

Nie dziw tedy że, gdy się wczoraj rozgadało
 O dawnych rzeczach i o owym czasie,
 Zapytałem: «Co się też z temi koni stało?»
 Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:

«W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
 Postawiono je razem na obroku:
 A po roku
 Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
 Chociaż żłób długi i przestrona stajnia,
 Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i hitki.
 Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.
 Ale cóż stąd? Wyroku zmienić nie podobna:
 Znowu je kacap jakiś sprzął do swej kibitki!
 Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
 Ej wy chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły —
 Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidła!»
 A Mazur: «Wej ciarachy! Dyć i my nie bydło;
 Nie targajta, bo żgniema, że będzietta chramać!»
 Nato Kozak pieniąc się: «Ciszej, ty Lachska mać!
 I ty muzyku! Niechno staniemy przy żłobie,
 Oj dam ja wam!» A oni: «Oj, damyż my tobie!»
 Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,
 Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
 Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
 Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
 Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie —
 Szczęśliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,
 Kacap dał im odetchnąć i wyspał trzęsianki.
 Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
 I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
 Klóca się nad obrokiem, godzą się pod batem.

TCHÓRZ NA WYBORACH.

Po owej porażce zwierząt
 Wszczął się w ich armii nierząd.
 Zwołana wojenna rada;
 Z rady zwada:
 Każdy każdemu się żali,
 Każdy przed każdym się chwali,
 I każdy winę na każdego wali —
 Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.

Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał,
 Ani wojskowo nie służył,
 Więc w politycznym życiu się nie zużył.
 Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał:
 «Obywatele! Czas jest przystąpić do kwestyi:
 Czemu przypiszem klęski tej kampanii?
 Czy że na wodza brak nam zdolnej bestyi?
 Nie! Ale my ulegli przesądów tyranii! —
 Grzesznym przodków obyczajem,
 Nie tym buławę oddajem,
 Których zasługa i talent wyniosą;
 Ale tylko mamy w cenie:
 Ci — drapieżne urodzenie,
 Tamci — rogate znaczenie,
 A owi — socyalne tłuste położenie.
 Otóż dowódcy nasi, przypatrzcie się, kto są?
 Lew prezes, istny pańskich ideał nałogów;
 Radzca żubr, już dziad, ledwie goni resztą rogów —
 Niedźwiedź mruk; niech no stanie przed wojskiem, co powie?
 Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie;
 Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków
 I z procesu, co zrobił owemu jagniątku;

A o kwatermistrzu lisie
 Lepiej przemilczeć zda mi się,
 Niśli zazierać do jego rachunków:
 Sam się nie tai, że skory do wziętków.
 Pominiemy odyńca: pan ten tylko pragnie
 Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie,
 Przywyklejszy doń, niż do marsowego kurzu.
 Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem.»

Gdy tchórz tak gadał, Rada, wrąc entuzjazmem,
 Gotowa za krasomówstwo
 Dać mu naczelne wodzowstwo,
 Odezwała się nagle w jeden głos: «Żyj tchórz!»
 On, stropion krzykiem tym wśród perory,
 Zmieszał się, owszem dał czuć najwyraźniej,
 Że był w gwałtownej bojaźni.
 Dopiero rozruch. «Precz z nim! pfe! tchórz! a do nory!»
 Szczęściem tuż była. Wśród sarkau i śmiechu
 Wpadł w nią i rył bez oddechu.
 Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,
 Rzekł do siebie z ironją czystego sumienia:
 «Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
 Obranoby mię wodzem, gdybym nie był tchórzem.»

1832.

ŻABY I ICH KRÓLE.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
 Szerzyła się od wieku, a stała nierządem.
 Tam każda obywatelka,
 Mała czy wielka,
 Gdzie chciała mogła skakać,
 Karmić się i ikrzyć.
 Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.

Zauważyły, że sąsiednie państwa
 Używają pod królmi rządnego poddaństwa,
 Że lew panem czworonogów
 Orzeł nad ptaki,
 U pszczoł jest królowa ula;
 A więc w krzyk do Jowisza:
 «Królu! ojcze bogów,
 Dajże i nam króla — króla!»

Powolny Bóg wszechzabstwu na króla używa
 Małego jak Łokietek Kija Kijowicza.
 Spadł kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
 Struchlały żaby na ten majestat łoskotu —
 Mileżą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
 Nazajutrz jedna drugiej pytają: «Co słychać?
 Czy nie ma co od króla?» Aż śmielsze i starsze
 Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
 Zrazu z dala, w bojaźni by się nie narazić;
 Potem, przemógłszy te strachy,
 Brat za brat z królem biorą się pod pachy,
 I zaczynają na kark mu włazić.

«Toż to taki ma być król! — Najjaśniejszy Bela,
 Niewiele z niego będziem mieć wesela:
 Król, co po karku bezkarnie go gładzim!
 Niechaj nam abdykuje zaraz nie-dołęga!
 Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga!»

Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
 Zdegradował króla kija,
 A zamianował węża królem żabim.
 Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
 Podśluchiwacz i dostrzegacz,
 Wszędzie wziera pod wodę, pod kamienie, pod pnie,
 Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
 Arystokracja najprzód gryziona jest żabia,
 Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
 Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia,
 I że się na dno biedy opuszcza;
 Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie;
 Gryzieni cisi, że śmiać siedzieć obojętnie.

Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula;
 A rzeczpospolita żab boleśnemi skwierki
 Do dziś dnia woła o innego króla:
 Lecz Bóg nie chce się więcej mięszać w jej rozterki.

OSIOŁ I PIES.

«Jeżeli chcesz, ośle, by pies kochał cię,
 Kochajże ty psa», słowa są Lokmana.
 Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebię —
 Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
 Opowiem dla was, bydłat potomnych, nauki.

Ten osioł, nosząc jak zazwyczaj juki,
 Szedł w ślad za panem; a za nim z tyłu,
 Mający nad jukami i bydłociem dozór,
 Ledwie widny w kłębach pyłu,
 Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
 Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas wszystek
 Nie tknął się swego podwładnego lytek;
 Owszem, bawiąc go, to z boku hareuje,
 To się naprzód wysforuje,
 Ogonem wciąż dla zachętu
 Krętu — wētu — —
 Szli tak aż do południa.
 Pan na skwar narzekał;
 Siadł pod drzewem i zasnął.
 Tegoć osioł czekał.
 Obejrzał się, naprzód dań przy drodze siekał:
 Potem podstrzygać zaczął czubek między;
 Nakoniec, przez rów hopsa,
 Widzi się w łące,
 Jakoś mimo wiedzy.

Nie znalazłci tam przysmaków,
 Chwastowiska ni bodziaków,
 Lecz koniczyny do pasa.
 «Będziesz się miała z pyszna!
 Tylko ty człowiecze
 Zmiłuj się, śpij!» Tak westchnął i siecze a siecze.
 Psu oskoma i pokusa:
 «Mój osłosiu, od rana jestem naczezo, mdli mię;
 Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po dymie:
 Pozwól, że dam jej całusa!
 Wiesz jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem,
 A ty przyklęknij na jedno kolano.»
 Nasz egoista, jakby do muru gadano,
 Siecze a żuje mileząc. Aż wreszcie półgębkiem
 Wypchanym koniczyną: «Co się tu wałęsasz?
 Poszedłbyś psie do nogi! Jak Jegomość wstanie,
 Da ci się śniadanie.»
 Odpowiedzi nie czekał,
 I obuszczak znowu
 Tak zarwał trawy,
 Że aż wygryzł w ziemi dołek,
 Klnąc psa, że mu przeszkadza.
 W tem, nagle, z za rogu,
 Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
 Biorąc go na cel i na tuj.
 Wtedy do psa: «Bracie! broń! ciu ciu! na tu! ratuj!»
 A pies: «Ja nie twój ratuj, ani twój pan Broniec,
 Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj;
 Czekaaj, aż Jegomość wstanie,
 Na waści obronienie i poratowanie.»
 W tejsze chwili wilk osła dorznął —
 Ot i koniec.

CHŁOP I ŻMIJA.

(Z LAFONTAINA.)

W pamiętnikach bestyo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa,
I o pewnego węża postępku łajdackim.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem!
Przeziębły, współkostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu:
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku
(Nie wiedząc jaką weźmie od gościa zapłatę) —
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął,
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela,
I wskrzesiciela!
«A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop krzyknął,
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A! ty żmii-synu!»
I wnet porwawszy dubasa
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz wpół pasa.
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmiisko na troje żmijątek.
Darmo drgają
I biegają

Ogon za szyją, za ogonem szyja:
Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

PIES I WILK.

(NAŚLADOWANE Z LAFONTAINA.)

Jeden bardzo mizerny wilk — skóra i kości,
Myszkuje po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,
Zdybie przypadkiem Brysia Jegomości,
Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;
Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana,
Podgardle tłuste, zwisłe do kolana.

«A witaj, panie kumie! Witaj panie Brychu!
Już od lat kopy o was ni widu, ni słyhu.
Wtedyś był mały kondlik: ale kto nie z postem,
Prędko zmienia figurę! Jakże służy zdrowie?»

«Niczego» Brysio odpowie,
I za grzeczność kiwnął chwostem.

«Oj! oj! — niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!
Co to za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!
A kark jaki! a brzuch jaki!

Brzuch! niech mnie porwą sobaki,
Jeżeli uczciwszy uszy,

Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!»

«Żartuj zdrów kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu,
Jeżeli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.» —

«A to jak, kiedyś łaskaw?» «Ot tak: bez odwłoki
Bory i nory oddawszy czartu,

I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,
 Idź między ludzi — i na służbę przystań!»
 «Lecz w tej służbie co robić?» wilk znowu zapytał.
 «Co robić? — Dziecko jesteś! Służba wyśmienita:
 Ot jedno z drugim, nic a nie!
 Dziedzińca pilnować granic,
 Przybycie gości szczekaniem głosić,
 Na dziada warknąć, żyda potarmosić,
 Panom pochlebiać ukłonem,
 Sługom wachlować ogonem;
 A za toż bracie niczego nie braknie:
 Od panów, paniątek, dziewczek,
 Okruszyn, kostek, poliwek,
 Słowem czego dusza łaknie.»
 Pies mówił, a wilk słuchał: uchem, głową, nosem,
 Nie stracił słówka; połknął dyskurs cały,
 I nad smacznej przeszłości medytując losem,
 Już obiecane wietrzył specyały.

Wtem patrzy. — «A to co.» — «Gdzie?» — «Ot tu, na karku?»
 «Eh błazeństwo!» — «Cóż przecie?» «Oto, widzisz troszkę
 Przyczesano — bo na noc kładą mi obrózkę,
 Ażebym lepiej pilnował folwarku!»
 «Czy tak? pięknaś wiadomość schował na ostatku!» —
 «I cóż, wilku, nie idziesz?» — «Co nie, to nie, bratku!
 Lepszy w wolności kąsek ładajaki,
 Niśli w niewoli przysmaki.»
 Rzecz i drapnąwszy co miał skoku w łapie,
 Aż dotąd drapie.

ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają strażę
 Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże
 Co na afisze nie patrzy
 I od korzenników ¹ bladszy,
 Niedbale utrzewiczony,
 I źle urękawiczniony:
 Myślą, że się chce topić;
 A więc pełni zgrozy,
 Ratuja go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś, po Sekwany brzegu,
 Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu,
 I urzędownicę pyta o powody,
 Tego biegu przeciw wody.

«Nieszczęście! woła biedak, pomocy! ratunku!
 Żona mi utonęła, żona iż tak rzekę
 Wpadła mi w rzekę.»

A na to żandarm mu rzecze:

«O, praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
 Szukasz utopionego ciała w złym kierunku,
 Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
 A ty za żoną biegniesz przeciw wody?»

«Boć to ciało, rzekł szukacz, było w życiu dziwne,
 Zawždy wszystkiemu przeciwne:

I domyślać się mam pewne powody,
 Że popłynęło z rzeką przeciw wody.»

1840.

¹ Epicioier.

W I E R S Z E R Ó Ż N E.

WILSON & CO.

I.

HYMN.

Na dzień zwiastowania N. P. Marji.

Pokłon przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosa Twoje skronie,
Gwiazdami Twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień Tobie uświęcamy wierni —
Śród Twego błyszni kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród niemej bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie.
Śród Twego błyszni kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie! —
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmie piersią, jaką Cherubiny
Zagrzmie światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,

Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Sion Dziewica.
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w Niej upodobał sobie.
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

DO MARJI ŻUBIEŃSKIEJ.

W DZIEŃ PRZYJĘCIA KOMUNJI ŚWIĘTEJ.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś Anioł tobie nie jeden zazdrościł:
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą,
Święta i skromna! — Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym:

Tobie, klęczącej przed barankiem Bożym,
 Jutrzienka usta modlące się stuli.
 Wtenczas zlatuję Anioł, twój obrońca,
 Czysty i cichy jak światło miesiąca,
 Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
 A troskliwości pełen i wesela,
 Z takim nad tobą schyla się objęciem,
 Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.
 Jeżeli promień nieśmiertelnej łaski
 Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
 I gdy się senna zbyt żywo rozśmieję:
 Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
 Stula nad senną zasłonę marzenia,
 I odlatuje, biorąc twe westchnienia.
 Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
 Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę —
 Tak się piastunka jego codzien budzi,
 Z nową miłością u Boga i ludzi:
 Jabym dni wszystkich rokosz za nie ważył,
 Gdybym noc jedną, tak jak ty, przemarzył.

Rzym, 1830.

ARYMAN I OROMAZ.

(Z zendawesty.)

W samym przepaści nie zgłębionej środka,
 W samym ciemności najgrubszym zarodku,
 Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
 Gniewny jako lew, jak wąż jadowity
 Onego czasu nadał się i dźwignął,
 I wielką ciemność pierściami wyrzygnął,
 I po ciemności, jak pająk po sieci,
 Szczeblował w górę, tam gdzie Bóstwo świeci.

Oparł się o dnia i nocy granice,
 Wynurzył głowę i podniósł źrenice.
 A skoro ujrzał, w samym niebios środku,
 Oromadesa, co wśród tworów świeci,
 Jak śród gwiazd słońce, jak ojciec śród dzieci:
 Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca —
 Ta myśl, ogromna jako świata brzemię,
 Z takim ciężarem padła mu na ciemię,
 Że stracił siłę, runął na dół głową
 Przez wieki wieków — i osiadł na nowo
 W samym przepaści niezgłębionej środku,
 W samym ciemności najgrubszym zarodku.

1830.

ROZUM I WIARA.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
 Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
 Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
 I umalował promieni tysiącem.

I hędzie błyszczycę na świadectwo wierze,
 Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
 I gdy mój naród zląknie się potopu,
 Spojrzy na tęczę — i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
 Choć górnice błyszczę na niebios błękanie,
 Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił:
 Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
 Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:

Wielkie i mętne — gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne — przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.

Konieczność! rzekli, wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu,
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

Jest Pan, co objął oceanu fale,
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie —
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni!
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga:
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
 Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
 Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
 I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
 Topi twe krople, zapala twe gromy,
 I twe pogodne zwierciadła oświeca —
 Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy! —

A R C Y - M I S T R Z .

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru,
 I wszystkie serca nastroił do wtóru,
 Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
 A wodząc po nich wichry i pioruny,
 Jedną pieśń śpiewa i gra od początku —
 A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękiecie,
 I malowidła odbił na tle fali,
 Kolosów wzory rzezał na gór szczycie,
 I w głębi ziemi odlał je z metali:
 A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiele,
 Nie pojął jednej myśli twórcy.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
 W niewielu słowach objawił przed ludem,
 I całą swoich myśli i dzieł księgę
 Sam wytłómaczył: głosem, czynem, cudem.
 Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
 Dziś, świat nim gardzi — poznawszy w nim brata.

Sztukmistrz ziemski, czym są twe obrazy,
 Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?

A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
 Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
 Spójrz na Mistrza i cierp boży synu,
 Nieznany — albo wzgardzony od gminu! —

MĘDRCY.

W nieczułej, ale niespokojnej dumie
 Usnęli mędrcey. Wtem odgłos ich budzi:
 Że Bóg widomie objawił się w tłumie,
 I o wieczności przemawia do ludzi.
 «Zabić go — rzekli — spokojność nam mięsza! —
 Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza.»

Więc mędrcey w nocy lampy zapalali,
 I na swych księgach ostrzyli rozumy
 Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
 I wzięwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
 Szli łowić Boga. — A zdrada na przedzie,
 Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

«Tyś to?» krzyknęli na Maryi syna —
 «Jam» odpowiedział i mędrcey pobladli —
 «Ty jesteś?» «Jam jest.» Służalców drużyna
 Uciekła w trwodze — mędrcey na twarz padli;
 Lecz widząc, że Bóg straszy a nie karze,
 Wstali przelekli — więc srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
 I szyderstwami ciało jego siekli,
 I rozumami serce mu przebudli:
 A Bóg ich kocha i za nich się modli! —
 Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
 Wyszedł z ich duszy, ciemnej jak mogiła.

Spełnili mędracy na Boga pogrzebie
 Kielich swej pychy. Natura w rozruchu
 Drżała o Boga — lecz pokój był w niebie:
 Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
 A razem gościsz w domku mego ducha;
 Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
 I czuwa tylko zgryzota i skrucha:
 Z Tobą ja mówię! Słów nie mam dla Ciebie:
 Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha,
 Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
 Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!

I każda dobra myśl, jak promień wraca
 Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
 I nazad płynąc, znowu mię ozłaca.
 Śle blask: blask biorę i blask mam za gońca.
 I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
 I znowu za nią płacisz mi bez końca:
 Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię,
 Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tys Król, o cuda! i Tys mój poddany!
 Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
 Otwiera Twoje niezgojone rany;
 I każda chęć zła jest gąbka octowa,
 Którą do ust Twych zbliżam zagniewany —
 Póki cię moja złość w grobie nie schowa.
 Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany:

Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odstonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skórą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym w obec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy, niśli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — i Tyś mię wysłuchał! —

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na 'Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną! —

W I D Z E N I E. ¹

Dźwięk mię uderzył — nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny otoczony puchem,
Pryśło, zerwane Anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagle pozostało —

¹ Z rękopisu, niedokończone.

I zdało mi się, żem się nagle zbudził.
 Ze snu straszniego, co mnie długo trudził.
 I jak zbudzony ociera pot z czoła:
 Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
 Które wisiały przy mnie, jak łupiny
 W około świeżo rozkwitłego zioła.
 Ziemia i cały świat, co mię otaczał —
 Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
 Tyle zagadek i tyle tajemnic,
 I nad którymi jam dawniej rozpaczał —
 Iż w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
 Jak w ciemnej wodzie, na którą blask padnie.
 Teraz widziałem całe wielkie morze,
 Płynące z środka, jak z źródła, jak z Boga,
 A w niem rozlana była światłość błoga.
 I mogłem latać po całym przestworze,
 Biegać jak promień, przy boskim promieniu
 Mądrości bożej i w dziwnem widzeniu,
 I światłem byłem i źrenicą razem.
 I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku,
 Nad przyrodzenia całego obrazem;
 W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
 A w środku siebie, jakoby w ognisku,
 Czułem od razu całe Przyrodzenie.
 Stałem się osią w nieskończonem kole:
 Sam nieruchomy, czułem jego ruchy;
 Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
 W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy,
 Świat ruszające, same nieruchome:
 Jako promienie, co ze środka słońca
 Leją potoki blasku i gorąca,
 A słońce w środku stoi niewidome.
 I byłem razem na okręgu koła,
 Które się wiecznie rozszerza bez końca
 I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
 I dusza moja, krąg napelniająca,
 Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
 I wiecznie będzie ognia jej przybywać;

Będzie się wiecznie rozwijać, rozplýwać,
 Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać,
 I coraz mocniej kochać swe stworzenie,
 I tem powiększać coraz swe zbawienie.

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
 Promień przez wodę; ale nie przylega
 Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś maca,
 I, wiecznie czysty, przybywa i wraca —
 I uczy wodę, skąd się światło leje,
 I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje —

Stały otworem ludzkich serc podwoje:
 Patrzyłem w czaszki — jak alchymik w słoje.
 Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
 Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
 Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
 Gotował skrycie. A do koła stali
 Duchowie czarni, aniołowie biali,
 Nieprzyjaciele i obrońce duszni,
 Skrzydłami studząc albo niecąc żary;
 Śmiejąc się, płacząc -- a zawsze posłuszni
 Temu, którego trzymali w objęciu:
 Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu,
 Które jej ojciec, pan wielki, poruczy,
 Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.

— — — — —
 — — — — —
 — — — — —

DO BOHDANA ZALESKIEGO.

Słowiczku mój! a leć! a piej!
Na pożegnanie, piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej!

Słowiczku mój! tve pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź,
I w ostrzu szpon, złotostron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało plód! i stał się cud!
I rozraduje świat!

Paryż, w sierpniu 1841.

II.

ODA DO MŁODOŚCI.¹

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wleczę światem
W rajską dziedzinę uludy,
Kędy zapał tworzy cudu,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła! —

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności, zalany odmętem:

¹ Wydanie poznańskie Poezji Mickiewicza z roku 1828 ogłosiło po raz pierwszy drukiem Odeę do Młodości, w formie nieco odmiennej od tej, jaką wszystkie następne przechowały edycje. Z tego poznańskiego wydania wypisane są tu warjanty.

To ziemia! —

Patrz, jak nad jej wody strupie¹
 Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
 Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
 Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
 To się wzbija, to w głąb' wali,
 Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
 A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu! —
 Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
 To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota²
 Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę,
 Serca niebieskie poi wesele,
 Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
 W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.³
 Jednością silni; rozumni szaleł,
 Razem młodzi przyjaciele! —
 I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu⁴,
 Jeżeli poległem ciałem
 Dał innym szczebel do sławy grodu.
 Razem młodzi przyjaciele!
 Choć droga stroma i sliska,
 Gwałt i słabość bronią wchodu:
 Gwałt niech się gwałtem odciska,
 A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

¹ Patrz, jak na jej wody grupie.

² Młodości! tobie jest nektar żywota
 Natenczas słodki, gdy z innymi w dzieło:
 Serca niebiańskie nie poi wesele,
 Kiedy je razem nić powiąże cnota.

³ W szczęściu wspólnem wszystkich cele.

⁴ I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
 Legł świetnym wiedzion zapalem:
 Bo jeśli poległ on ciałem,
 Dał innym szczebel do sławy grodu.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze¹,
 Ten młody — zdusi Centaury,
 Piekłu ofiarę wydrze,
 Do nieba pójdzie po laury! —
 Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
 Łam, czego rozum nie złamie,
 Młodości! orla twych lotów potęga,
 Jako piorun twoje ramię!²

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
 Opaszmy ziemskie kolisko!
 Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
 I w jedno ognisko duchy! —
 Dalej z posad bryło świata!
 Nowemi cię pehniemy tory,
 Aż opleśniałej zbywszy się kory³,
 Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
 Skłóconych żywiołów waśnią,
 Jednem «stań się» z bożej mocy
 Świat rzeczy stanął na zrębie,
 Szumią wichry, cieką głębie,
 A gwiazdy błękit rozjaśnia:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha⁴ —
 Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
 Oto miłość ogniem zionie:

¹ Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
 Młodzieńcem, zdusi Centaury;
 Ten piekłu ofiary wydrze,
 Do nieba sięgnie po laury.

² A jako piorun two ramię!

³ A spleśniałej zbywszy kory.

⁴ Równie i w krajach ludzkości noc głucha —
 Żywioły chęci jeszcze są w wojnie:
 Ale młodość ogniem płonie,
 Wyjdzie z zamętu świat ducha;

Wyjdzie z zamętu świat ducha!
 Młodość go pocznie na swoim łonie,
 A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie!

Pryskają nieczule lody.
 I przesady światło ćmiące —
 Witaj, jutrzeńko swobody,
 Zbawienia za tobą słońce! —

PIEŚŃ FILARETÓW.¹

Hej! użyjmy żywota!
 Wszak żyjem tylko raz:
 Niechaj ta czara złota
 Nie próżno wabi nas.

Hejże! do niej wesoło!
 Niechaj obiega w około;
 Chwytaj i do dna chyl
 Zwiastunkę słodkich chwil.

Po co tu obce mowy?
 Polski pijemy miód:
 Lepszy śpiew narodowy,
 I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
 Włazłś, nie żebyś gnął:

Miłość go pocznie w swem łonie,
 A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.
 Wnet prysną nieczule lody,
 I przesady światło ćmiące —
 Witaj, jutrzeńko swobody,
 Za tobą zbawienia słońce!

¹ Pierwsza strofa jest naśladownictwem burszowskiej pieśni niemieckiej.

Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw:
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas:
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

brak zwrotki.
Ten się wśród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubyh wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stóp.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtonska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie dość.

Cyrkla wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sill! —

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń:
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

T O A S T Y. ¹

Coby było wśród zakresu,
Na który ludzie rzucony,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo!
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko do koła skrzepło?
Zimny świat i zimne serce:
Ciepła trzeba. Wiwat ciepło!

¹ W wydaniu Poznańskim z roku 1829 wiersz ten nosi tytuł: Cztery Wiwaty. P. W.

Pełnych światła i zapału
 Często silny wiatr rozniesie:
 By ciało zbliżyć ku ciału —
 Jest magnes. Wiwat magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki
 Przez magnesowaną styczność,
 Wówczas z lejdejskiej butelki
 Palniem: Wiwat elektryczność!

CZYN.

(Na nutę Berangera: Jeunes enfants.)

Hej, dalej w płas!
 Pokręcaj was!
 Tak nasi mawiali przodkowie.
 Poczciwie bij,
 A tego pij.
 Hej, pijmy za ich zdrowie!

Gdy młody Polak czynem się zbłąźni
 Dopóki krzyża nie dopnie,
 Pnie się na świeccie, jak w ruskiej łaźni,
 Na coraz wyższe i wyższe stopnie.
 Lecz darmo czady pije,
 Próżno ćwiczy pieczenie:
 Jeżeli zbrukał sumienie,
 Dalibóg że skręci szyję.

Tyś szlachty syn,
 Nie dbaj o czyn!
 Tak nasi mówili przodkowie.
 Jeżeliś gracz,
 Choć bieda płacz.
 Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana
 Do gwiazd wyprawia połowy;
 I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
 Świeci się jak wóz Dawidowy.
 Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
 A z nią piekielna męka:
 Tego jednego krzyża
 Belzebub się nie lęka.

Hej, dalej w płas!
 Pokręcaj wąs!
 Tak nasi mówili przodkowie.
 Tyś szlachty syn,
 Nie dbaj o czyn.
 Hej, pijmy za ich zdrowie!

Petersburg, 1829.

DO MATKI POLKI.

(Wiersz pisany w roku 1830.)

O matko Polko! gdy u syna twego
 W źrenicach błyszczy geniuszu świetność;
 Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
 Dawnych Polaków duma i szlachetność —

Jeśli, rzuciwszy rówienników grono,
 Do starca bieży, co mu dumy pieje;
 Jeżeli słucha z głową pochyloną,
 Kiedy mu przodków powiadają dzieje:

O matko Polko! źle się twój syn bawi —
 Klękniij przed Matki Bolesnej obrazem,

I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
 Takim wróg piersi twe przesyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
 Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:
 Syn twój wyzwany do boju bez chwały
 I do męczeństwa bez zmartwych-powstania.

Każ że mu weześnie w jaskinię samotną
 Iść na dumanie, zalegać rohoże,
 Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
 I z jadowitym gadem dzielić łoże!

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem,
 I być jak otchłań w myśli niedościgły;
 Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
 Postać mieć skromną, jako wąż wystygły —

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie:
 Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
 O matko Polko! jabym twoje dziecię
 Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Weześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
 Do taczkowego każ zaprzęgać wozu:
 By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
 Ani się spłonił na widok powrozu.

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
 Utkwić zwycięski krzyż w Jerozolimie,
 Albo jak świata nowego żołnierze
 Na wolność orać, krwią polewać ziemię —

Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
 Walkę z nim stoczy sąd krzywo-przysiężny;
 A placem boju będzie dół kryjomy,
 A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
 Zostaną suche drewna szubienicy;
 Za całą sławę krótki płacz kobiecy
 I długie, nocne rodaków rozmowy —

N O C L E G. ¹

Nasz naczelnik nad Trockiem jeziorem
 Po kowiańskiej potyczce nocuje.
 Strzelcy leżą na kępie taborem:
 Jeden rany swe mchem opatruje;

Drugi strzelbę przeczyszczcza, nabija,
 Kantur z brzozy na zamek nasuwa:
 Ten wpół-senny pod głowę płaszcz zwija —
 I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś duma w pomroce —
 Drzewo suche — lecz miało owoce:
 Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
 Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
 Jeden Prusak, z nogami długimi
 W białych pończochach; a drugi,
 Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
 Wzrokiem szuka pagórka znanego:
 Ten za wodą — na wzgórku dom jego.
 Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkim. — Czy piorun?
 Piorun u nas nie bije w tę porę:
 «O Najświętsza! o Maryo z Borun!
 Ratuj ich — ratuj dzieci — dom gore.»

Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu! —
 Wtem słuchają. — Łom trzeszczy, gwar ludzi,
 I «kto idzie!» głos ozwał się w boru.
 Patrol wraca i obóz się budzi.

«Wodzu! wielka dla ciebie żałoba;
 Wraca patrol z wieściami Hijoba.
 Jeden mówi: zarznęli twą żonę,
 Drugi mówi: twe dzieci spalone.

Lecz pojмали dowódcę Moskali.»
 «Kto on?» — «Francuz, nie stary, przystojny:
 I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
 Za pieniądze lud siecze niezbrojny!» —

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
 Na dom patrzył i milczał i słuchał.
 Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
 Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
 Było głuche milczenie i zgroza.
 Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
 Na dom patrzył — i krzyknął: «powroza!» —

Przyskoczyły dwa katy rozkoły,
 Stryczek mieli gotowy ze sznura,
 Zakasali rękawy za poły,
 I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci — «Kto idzie?» «Lud z Bogiem!
 Nasze hasło: poznajcie wiarusa!»
 Zrzuca płaszcz — ach! to mundur Krakusa.
 Biały surdut z czerwonym wyłogiem!

«Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Gejsnara,
Nabrał jeńców i dział co nie miara —
Idzie w Litwę — Skrzynecki niech żyje!»

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał —
Ach! kto milej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takimi —
A Naczelnik? — On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: «Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił,
Jam dziś karać nikogo nie zdolny» —

29 marca 1832.

REDUTA ORDONA.¹

(Opowiadanie adjutanta.)

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole. Dwieście armat grzmiało;
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza. Przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długa czarną kolumną, jako lawa błota.

¹ Ogłoszone po raz pierwszy przez Mickiewicza na końcu dzieł Garczyńskiego, z dedykacją do Jenerała Umińskiego i z następnym dopiskiem: «Wiersz ten, pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela, jako wspólną naszą własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nie rozpaczał i do końca chciał walczyć.»

Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
 Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
 Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
 Jak głąz bodzący morze, reduta Orдона.
 Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą;
 I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
 Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
 Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz! tam granat w sam środek kolumny się nurza,
 Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
 Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci
 I ogromna łysina wśród kolumny świeci.
 Tam, kula pędząc, zdala grozi, szumi, wyje,
 Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje.
 Już dopadła; jak boa wśród kolumn się zwija,
 Pali pierśią, rwie zębem, oddechem zabija.
 Najstraszniejszej nie widać lecz słychać po dźwięku,
 Po waleniu się trupów, po ranionych jęku;
 Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
 Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumi te wyprawia?
 Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
 Nie! On siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
 Król — wielki samowładnik świata połowicy.
 Zmarszczył brwi: a tysiące kibitek wnet leci;
 Podpisał: tysiąc matek oplakuje dzieci;
 Skinął: padają knuty od Niemna do Chiwy. —
 Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
 Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
 Gdy poselstwo Paryskie twoje stopy liże:
 Warszawa jedna twojej mocy się urąga:
 Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
 Koronę Kazimierzów, Chrobrych — z twojej głowy;
 Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się: ze strachu drżą Petersburczany,
 Car gniewa się: ze strachu mrą jego dworzany;

Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
 Jest Car. Car gniewny: umrzem, rozweselim Cara
 Posłany wódz Kaukaski z siłami pół-świata,
 Wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata.

Ura! ура! Patrz, blisko reduty, już w rowy
 Wałą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
 Już czernią się na białych palisadach wałów.
 Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
 Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiska
 Wrzucony motyl błyska; mrowie go naciska,
 Zgasł: tak zgasła reduta. — Czyż ostatnie działo,
 Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
 Czy zapal krwią ostatni bombardyer zalał? —
 Zgasnął ogień. Już Moskal rogatki wywalał.
 Gdzież ręczna broń? — Ach, dzisiaj pracowała więcej,
 Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
 Zgadłem dla czego milczy, bo nieraz widziałem
 Garstkę naszych wależącą z Moskali nawałem.
 Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij;
 Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
 A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
 Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność. —
 Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, panięci,
 Żołnierz jako młyn palny: nabija, grzmi, kręci —
 Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
 Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
 Szukała — nie znalazła — i żołnierz pobladnął! —
 Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął,
 I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
 Upuścił ją i upadł; nim dobiją, skona! —
 Takem myślił, a w szaniec nieprzyjaciół kupa
 Już laża, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach; a gdym lży ocierał,
 Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
 On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu,
 Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.

Nakonec rzekł: «Stracona.» Z pod lunety jego
 Wymknęło się łez kilka. Rzekł do mnie: «Kolego,
 Wzrok młody od szkieł lepszy: patrzaj, tam na wale,
 Znasz Ordoną, czy widzisz gdzie jest?» — «Jenerale,
 Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował.
 Nie widzę — znajdę — dojrzę — wśród dymu się schował:
 Lecz wśród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
 Widziałem rękę jego dającą rozkazy! —
 Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę,
 Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
 Biorą go — zginął! — O nie! Skoczył w dół, do lochów» —
 «Dobrze, rzecze Jenerał, nie odda im prochów.»

Tu blask — dym — chwila cicho — i huk jak stu gromów!

Zaémilo się powietrze od ziemi wyłomów;
 Harmaty podskoczyły, i jak wystrzelone
 Toczyły się na kołach; lonty zapalone
 Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
 Prosto ku nam i w gęstej chmurze nas ochłoniął;
 I nie było nic widać, prócz granatów blasku.
 I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
 Spojrzałem na redutę — wały, palisady,
 Działa i naszych garstka i wrogów gromady:
 Wszystko jako sen znikło! Tylko czarna bryła
 Ziemi niekształtnej leży: rozjemcza mogiła.
 Tam i ci co bronili i ci co się wdarli,
 Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli! —
 Choćby cesarz Moskałom kazał wstać: już dusza
 Moskiewska tam raz pierwszy Cesarza nie słusza!
 Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
 Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordoną.
 On będzie Patron szanieów! Bo dzieło zniszczenia
 W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia:
 Bóg wyrzekł słowo stan się, Bóg i zgiń wyrzeczcie! —
 Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
 Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
 Obleją, jak Moskale redutę Ordoną:

Karząc plemię zwycięsców zbrodniami zatrute,
 Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
 Rota strzelców stanęła zielona,
 A u wrót stoi straż pułkownika:
 Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
 Z wiossek zbiegły się tłumy wieśniacze:
 Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
 Kiedy po nim lud prosty tak płacze
 I o zdrowie tak pyta ciekawy! —

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
 Konia w każdej sławnego potrzebie:
 Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć —
 Kazał przywieść do izby, do siebie.
 Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
 Swój kordelas i pas i ładunki:
 Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
 Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
 Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
 I żołnierze od żalu pobledli,
 A lud modlił się klęcząc przed progiem.
 Nawet starzy Kościuszki żołnierze:
 Tyle krwi swej i cudzej wylali,
 Łzy ni jednej — a teraz płakali,
 I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy.
 Już przed chatą nie było żołnierza,

Bo już Moskal był w tej okolicy.
 Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza:
 Na pastuszym tapczanie on leży,
 W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
 A u boku kordelas — dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
 Jakie piękne dziewicze ma lica!
 Jaką pierś! — Ach, to była dziewica,
 To Litwinka, dziewica — bohater —
 Wódz Powstańców: Emilia Plater!

PIEŚŃ ŻOŁNIERZA.¹

Ja w tej izbie spać nie mogę
 Inną izbę daj sąsiedzie!
 Bo stąd okna są na drogę,
 Tędy często poczta jedzie;

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
 Tak mi mocno serce skacze:
 Myślę, że trąbią do koni,
 I potem aż do dnia płacę.

Oczy zamknę: to się marzy
 Nasze konie, chorągiewki,
 Ogień nocne, krzyki straży,
 I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się: i w oeknieniu
 Słyszę głos mego kaprała;

On mię klaszcze po ramieniu:
«Wstawaj! jedźwa na Moskala!»

Wstaję: aż ja w pruskiej ziemi! —
Jak tam lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na słocie,
Ale w Polsce, między swemi.

Jużbym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprała,
Gdyby znowu w ramię klasnął:
«Wstawaj! pójdźwa na Moskala!»

AD

N A P O L I O N E M III.

CAESAREM AUGUSTUM

ODE

IN BOMERSUNDUM CAPTUM.

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insequutus, belluae in occiput
Rupes ruens, fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens:

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis.

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funeris sospites,

Svecusque, Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo;

Rati tuum illum, romulca manu,
Dirum superbis Caesarem avunculum,
Auguste, jam per te, secundo
Cum imperio miseris reduci.

III.

F A R Y S.

KASYDA

NA CZEŚĆ EMIRA TADŻ-UL-FECHRA UŁOŻONA,
JANOWI KOZŁOW NA PAMIĄTKĘ PRZYPISANA.

Jak łódź wesola, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się kryształe;
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata —
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzienka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawce białonogi —
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha

Owdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina pogładają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

«O szalony! gdzie on goni!
Tam, od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni,
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiososa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.»

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem — aż dumne głazy
Zostały z dala odemnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinał głowę moją wieńcem.

«Czuję, krakał, zapach trupi,
Jeździec głupi, rumak głupi!

Jeździec w piaskach szuka drogi,
 Szuka paszy białonogi:
 Jeździec, koniu, pusta praca,
 Kto tu zaszedł, nie powraca!
 Po tych drogach wiatr się błąka,
 Unosząc z sobą swe ślady;
 Nie dla koni jest ta łąka,
 Ona tylko pasie gady.
 Tylko trupy tu nocują,
 Tylko sępy tu koczują.»

Kracząc lśniącemi szpony, w oczy mi urągał,
 I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko:
 Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko! —
 Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał,
 I gdym sępa oczyma po za sobą tropił:
 Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
 Wielkości wróbla — motyla — komara,
 Potem się całkiem w błękiecie roztopił.

Pędź latawce białonogi —
 Skąły z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
 Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;
 On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
 Jakim ja byłem na stepie!
 Nad głową moją zawisnął,
 Taką groźbą za mną świsnął:

«O szalony! gdzie on goni!
 Tam pragnienie piersi stopi;
 Obłok deszczem nie odkropi
 Osypanej kurzem skroni;
 Strumień na błoniu jałowem
 Nie ozwie się srebrnem słowem;
 Rosa, nim na ziemię spadnie,
 Wiatr ją głodny w lot rozkradnie.»

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy! —
 Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
 Coraz niżej głowę skłaniać,
 Potem oparł się na głazy.
 A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił:
 Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
 Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
 Zaczerwienił się od złości,
 Oblał się żółcią zazdrości,
 Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował! —

Pędź, latawce białonogi,
 Sepy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy, kręgiem słońca,
 Okręciłem koło siebie:
 I na ziemi i na niebie
 Już nie było za mną gońca —
 Tu natura, snem ujęta,
 Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
 Tu żywioły drzemią w ciszy
 Jak niepłoszone zwierzęta,
 Których stado nie ucieka,
 Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy! — Śród piaszczystej kępy
 Oszańcowane świecą się zastępy —
 Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
 Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości! —
 Przybiegam: stoją — wołam: milczą. — To są trupy! —
 Starożytna karawana
 Wiatrem z piasku wygrzebana! —
 Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
 Przez jamy, gdzie były oczy,
 Przez odarte z ciała szczęki,
 Piasek strumieniem się toczy
 I złowrogie szemrze jęki:
 «Bedninie opętany!
 Gdzie lecisz? tam huragany!»

Ja pędzę — ja nie znam trwogi.
Pędź, latawce białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wicherzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
«Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci
Tak poziomego lotu, nikiemnej postaci,
Śmie deptać łądy, którem w dziedzictwie osiągnął?»
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości łąd nogą trącił,
Całą Arabią zmącił,
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walil,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię. —
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłemi zębami.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odlechnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno! szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!

Wytężyło się me oko
 Tak daleko, tak szeroko:
 Że więcej świata zasięga
 Niż jest w kole widnokręga,
 Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
 Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
 Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
 Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
 Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.
 Jak pszczoła topiąc żądło i serce z niem grzebie,
 Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie! —

1821, Petersburg.

S Z A N F A R Y.

KASYDA.

(Z arabskiego.)

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!
 Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi.
 Gotowe juki, rzemień do garbów przycisnął:
 Dalej w drogę! Noc ciepła i księżyc zabłysnął.

Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie:
 Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie;
 I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
 Gonić roskosz a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:
 Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
 Hyeny, zdobycz kroki pędzącą chromemi —
 To moi przyjaciele. Nie masz między niemi
 Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
 Co brata bładzającego z szyderstwem odbieży:

U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna
 Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
 Nieprzyjaciolom pierwszy ja skaczę do oczu,
 A gdy przyjdzie lup dzielić, stoję na uboczu.
 W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża:
 Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
 Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
 A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
 Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami,
 I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
 Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
 Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,
 I łuk żółty wielbłądzą krzywiący się szyją;
 Przy którym pas bogaty, suta fręzla pływa —
 Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
 Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
 Jako matka wydarte ścigająca dzieci.
 Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja,
 I odstraszywszy źrebce sam klacze wydaja;
 Jam nie tchórz, ni za dziewięc ogonem włóczęga,
 Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.
 Nie strusie serce moje; choć strach zakolata,
 Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.
 Kto mię widział od rana do nocy wśród gachów,
 Braw malować, włos trefić w kąpielu zapachów?
 Czy mię kiedy noc zbląka, choć piaseczysta fala
 Tumanami okręci i żwirem zawala,
 Lecę na mym wielbłądzie — wrą u nóg ukropy,
 Krzemienie iskry sypiąc pryskają z pod stopy.
 O głodzie choć najdłuższym, w wielkomysłnej dumie
 Nigdy wspomnieć nie raczę — i tak go zatłumię:
 Karmię się prochem ziemi, a głód nadaremnie
 Pasując się wyznaje, że słabszy odemnie.
 Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
 Więcej jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?

Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,
 I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
 Teraz pragnienie skręca wnętrzości w mem łonie,
 Jak nie różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam naczecz podobny wilkowi,
 Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi
 I z pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy,
 Przeciska się włóczęga czatujący strawy;
 A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,
 Wyje — wtórują wyciem towarzysze chudzi.
 Jako z łonem niepełnem wschodni księżyc cienki,
 Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
 Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy,
 Albo jak roje pszczelne, gdy w koło rodziny
 Szumiącą polatują na pagórek rzeszą,
 Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.
 Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,
 Gardziel rozdarła nakszalt rozkłótego drewna.
 Zawył: i oni wyją, biegnąc na pagórki,
 Jak płaczące farysa małżonki lub córki.
 Umilknął: oni mileżą. Wycie mu ulżyło,
 I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
 Zda się, że spólność głodu wnętrzości uciszy:
 Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy;
 Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
 Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nie nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pulk strusi
 Daremnie grzmi skrzydłami — męty spijać musi.
 Nie zgonił mej wielbłądki bystry ich wódz stada:
 Ja dojeżdżam — spragniona zostaje gromada.
 Jużem odjechał — ptastwo runęło na męty,
 Wola ich rozciągnięta, dziób ku studni zgięty
 Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem,
 Jak obóz karawany siedzącej popasem.
 Znowu śmignęły w górę, znowu w studnię wpadły,
 Ścisnęły się nakoniec i zręby obsiadły:

I ryczałtem wypiwszy, rozwinięły loty,
Jak runące z oazy beduinów roty.

Ziemia twarda mi družka. Nic raz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno,
Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jej służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało.
Każda bieda najpierwej na mój kark się wsuwa;
Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa,
I wytrzeszczywszy oczy, patrzy, skąd ugodzić.
Troski kolejną febry zwykły do mnie chodzą;
Ale od febry gorzej nie dają pokoju.
Lecą do mnie jak ptaki spragnione do źródła:
Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
Znowu uderza z boku i z dołu i z góry.

Wicie, jak w upał boso lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
Choć miękko wychowany i z przodków bogaty,
Alem syn Cierpliwości — włożyłem jej szaty
Na pierś, w której hyeny przemieszkiwa Śmiałość.
Za obuwie na nogi włożyłem Wytrwałłość.
Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,
Jam wesół i bogaty, bo nie szcędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.
Czyli z nadstawnym uchem za płotkami latał?
Czyli na cudzą sławę potwarze wymiatał?

Pamiętacie noc klęski? Tę noc niepogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
Że Arab grzał się, paląc własny łuk i groty?
Ja wybiegłem na boje wśród mroku i sloty;

Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
 Towarzyszami: piorun, okropność i trwoga.
 Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
 Wróciłem, jakem wyszedł nocą otoczony.
 Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
 Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
 Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
 Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada:
 Słyszano, mówią, wczora nocne psów wazeczenie,
 Zdało się, że wilk przebiegł lub hyeny szeczenie;
 Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął?
 Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął;
 Może do Diw przechodząc tyle szkody zrobił?
 Może człowiek? Nie, człowiek tyluby nie pobił —

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
 Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,
 W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące,
 I zdjęwszy turban, głową wyzywałem słońce;
 A włos mój brudu pełny, nie znający woni,
 Kołtunami przylegał do niemytej skroni.

Lono pustyni co się bez końca rozszerza,
 Tak twarde i tak nagie jako grzbiet puklerza,
 Nie raz całe boseni przemierzyłem stopy,
 Na klęczkach pnąc się, jak pies, włazłem im na czolo.
 Tam dzikie antylopy biegały w około,
 Białonogie i wełną odziane bogatą,
 Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą;
 I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
 Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada —
 Co mu rogi w tak długie piątrzą się ramiona,
 Że wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
 Albo niemi do skały przyczepia się szczytu,
 I wisi jako ptaszek w otchłani błękitu.

ALMOTENABBI.

(Z arabskiego.)

Pókiż przez głuchoe piaski i przez dzikie lądy
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?
Gwiazdy nóg nie mające nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek.

Słońce nam poczerńilo oblicza i czoła,
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdola.

Czyliż to sędzia niebieski sroższym dla nas będzie,
Niśli ziemscy, litości nie mający sędzie!

Wody mam dość na drogę; kiedy z deszczem płynie,
Zbieram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie:
Lecz niech czują, że z panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu, do wielbłądów rzekłem:
«Bieżcie i przednie nogi popędźcie tylnemi.»
I opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem,
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda,
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz, co je mięsza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekroć turban zdejmą, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach, jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skrome,
Ręka ich wali jeźdźce i zabiera konie.

Więcej zdobyli łupów, niż mieli nadzieję:
Jednak łup ich głębokiej żądzы nie zaleje.

Ich bitwa, jak u pogan wieczna i zacięta,
A bezpieczeni pod bronią, jakoby w dzień święta;

Nieme dzidy z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać jak skrzydła sokole.

Nie ustaną wielbłądy chociaż się zapienią,
I deptając Reql i Ganem, nogi uzielenią.

Bicz mój od cudzej łąki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnej odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skąpił,
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie:
Dzisiaj wszyscy umarli — równi jemu w grobie.

Jegom szukał mem okiem, wołał memi usta:
Cóż znalazłem do koła? świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem, skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę,
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
«Nie piórem ale mieczem zarabiam na sławę.

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem,
Pióro pracuje tylko za miecza rozkazem.»

Tak mię pióra uczyły w przyjaznej rozmowie.
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć:
Nie słuchałem; i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić;
Spytaj, czy kto na życie mógł piórem zarobić?

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził o żebranym chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednej matki łona.

Ha! Dziś inaczej będę gościnności szukać:
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż roztrzygnie, kto karku uchyli:
Czy owi, co cierpieli, lub ci, co gnębili.

Oręża z ręku naszych wydrzeć im nie damy,
Dłoń moja nie ma drżączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie —
To, co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojej skargi dźwięku
Cieszą się, jako sępy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach;
Darmo szukać jej w ludzkich mowach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojej duszy!
Z jego łaski i trudy i nieszczęścia znoszę,
I na długim wygnaniu znajduję rozkoszy,
Kiedy inni w najsroźszej dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród terażniejszych ludzi smutne płyną chwile.
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile.

Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków stwarzał;
A nas nikczemnych splodził, gdy się już zestarzał.

IV.

ZIMA MIEJSKA.

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarno lato,
I przykre miastu jesienne potopy;
Już bruk, ziębiącą oblezony szatą,
Od stalnej Fryzów niekrzesany stopy.

Więzieni slotą w domowej katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzym powietrze,
Londyński pojazd turkotem nie głuszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.

Witaj narodom miejskim pora błoga!
Już i Niemeńców i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwycą:
Czy ciągnę tchnienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnej przypatruję kiści.

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga ciężarem sporsza, już osiadła;
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobielic Wilii zwierciadła.

Lecz kogo sióło dzisiejsze uwięzi,
 Zmuszony widzieć: łyse gór wiszary,
 Grunt dziki, knieję nagiemi gałęzi
 Niesilną, zimne podźwignąć ciężary:

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
 Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem,
 I dając chętnie Cererę za Pluta,
 Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
 Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
 Tutaj rolnicze przepomina znoje
 W pieszczonem gronie czarownych Charytek.

Na wsi, za ledwie czarna noc rozrzednie,
 Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
 Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
 Pod atlasowych śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
 Modnej młodzieży przywoływam koło;
 Stojem poranne zbywamy godziny,
 Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w śniący kryształ włożywszy oblicze,
 Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
 Drugi stambulskie oddycha gorycze,
 Lub pije z chińskich ziół ciągnięone treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
 Wraz do śliskiego wstępuję powozu;
 Soból lub rosmak moje barki jeży,
 I suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany —
 Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
 W kolej szlą pełne smaków porcelany,
 I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgryzyna mocny setnem latem;
 Wrą po kryształach koniaki i pącze;
 Pleć piękna gasi pragnienie muszkatem,
 Co dając rzeźwość, myśli nie zapłącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
 Dowcipne, czule wszystkim płyną słowa;
 I wdzięk niejeden zarumieni lice,
 Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
 Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
 Boginie dają do rozjazdu hasło —
 Zagrzmiały schody i już gości nie ma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
 Pod twój znak idą, królu Faraonic,
 Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
 Pędzą po suknoch wytoczone słońce.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony,
 I szklannem światłem błysną kamienice,
 Młodzież, dzień kończąc wesolo spędzony,
 Tysięczną sanią szlifuje ulice.

CHÓR STRZELCÓW.

(Podług muzyki z opery Webera: Wolny strzelec.)

Śród opok i jarów,
 I plonów i glogów,
 Przy dźwięku ogarów,
 I rusznic i rogów;

Na koniu, co w cwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Dalejże, dalejże z tropu w trop, dalejże, i t. p.
Z tropu w trop, hop! hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi cheiwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur:
Tam krwi płyną strugi,
Stąd leci grad piór.

Dalejże, dalejże, i t. p.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej! lasy i niwy
Ozwijcie się w chór! —
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.

Dalejże, dalejże, i t. p.

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sidła?
Kto wstępny wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Hej wiatry, w burzliwy
 Ozwijcie się chór! —
 Wystrzelił myśliwy,
 Król wiatrów i chmur.

Dalejże, dalejże, i t. p.

D O

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
 Co na twem czole połyska;
 Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą,
 Co piersi twoje przyciska:

Drzenia bym serca twojego badał,
 Czy nie odpowie mojemu;
 Z twojem się łonem wznosił i spadał,
 Posłuszny tchnieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty,
 Co dysze w pogodnem niebie:
 W drodze bym mijał najświeższe kwiaty,
 A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
 Pracę by moję ocenił;
 Może nakoniec byłbym szczęśliwy,
 I w twe się serce zamienił. —

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słońca?
 Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu:
 Dziś, jakie fale, jaki wichher miota!
 Nie można płynąć, cofnąć nie podobna biegu!
 A więc porzucić korab' żywota? —

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi
 Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
 Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi:
 Ta puhar daje, ta odsłania lice,
 Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, kto i w samej ulubował Cnociel
 Dopłynie, kędy sławy górąje opoka,
 Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie:
 Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
 Dopłynie we krwi i w pocie. —

A komu Piękność całe pokaże oblicze,
 Potem wśród drogi zdradliwa odłata,
 Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze:
 Ach, jakąż później czczość w obszarach świata!
 Już nie dość krzepią i Cnoty słodyczne. —

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,
 Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia;
 Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
 Zamiast jej rączek, chwytać za ręce z kamienia,
 I długo wśród takiego nie ustać zawodu? —

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
 Nie będziem dłużej ómieni, więcej kołatani —
 Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
 Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
 Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła —
 Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi:
 Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
 I raz rzucona, krąży po niezmiernej głębi,
 Póki czas wieczne toczyć będzie koła? —

Któż to krzyknął od lądu? jakie słychać żale?
 Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
 Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale:
 I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
 Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale? —

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
 Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga!
 Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska —
 Nie słychać z dała wichru, co tu liny targa,
 Grom co tu bije, dla was tylko błyska! —

I razem ze mną, pod strzałami gromu,
 Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
 Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
 Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.
 Ja płynę dalej — wy idźcie do domu.

17 kwietnia 1821.

THE MEETING OF THE WATERS¹.

Czyż jest na całym świecie tak mile ustronie,
 Jak dolina, gdzie jasne zlewają się zdroje? —
 Dolino, będą w serca błyszczeć kwiaty twoje,
 Póki w duszy ostatni promyk życia płonie!

Nie dla tego o tobie tak wspominać miło,
 Że cię szmaragd odziewa i kryształ oblewa,
 Że masz żywe strumienie, urodziwe drzewa:
 Ach, w tobie coś droższego, coś miłszego było!

Tu byli ukochani przyjaciele moi;
 Oni rozlali lubość w lubej okolicy,
 Oni czuli, że piękność, która ziemię stroi,
 Miłszą jest, kiedy w milej odbita źrenicy.

Daj Boże, abym wrócił w to ciche ustronie,
 I obok mych przyjaciół spoczął na twem łonie,
 Kiedy przeminają wszystkie życia niepogody
 I zmięszają się serca, jako twoje wody. —

D O M

Precz z moich oczu! — posłucham od razu;
 Precz z mego serca! — i serce posłucha;
 Prez z mej pamięci! — Nie — tego rozkazu
 Moja i twoja pamięć nie posłucha!

¹ Z album p. Moszyńskiego.

Jak cień, tem dłuższy gdy padnie z daleka,
 Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
 Tak moja postać, im dalej ucieka,
 Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
 Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
 Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie;
 Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
 Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę —
 Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
 Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
 Śmiertelna złowi króla twego matnia —
 Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
 Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
 Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział —
 Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
 Pomyślisz sobie, on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
 Stargane ujrzesz kochanków nadzieje,
 Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
 Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje. —

A jeśli autor, po zawilej probie
 Parę miłośną naostatek złączył;
 Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
 Czemu nasz romans tak się nie zakończył. —

Wtem błyskawica nocna zamigocze,
 Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
 I puszczyk z jękiem w okno załopocze —
 Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,
 Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
 Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
 Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

1822.

N O W Y R O K.
 (MYŚL Z JEAN PAULA.)

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwiła
 Fenix nowy; już skrzydła roztacza na niebie,
 Świat go cały nadzieją i życzeniem wita:
 Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesołych? — Znam te błyskawice.
 Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
 Czekamy wniebowzięcia: aż nasze źrenice
 Grubszą niżeli pierwej zasępią się nocą.

Może kochania? — Znam tę gorączkę młodości!
 W platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy:
 Aż silnych i wesołych strąci w ból i mdłości,
 Z siódmego nieba w stopy, między zimne głązy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam.
 Marzyłem boską różę; bliski jej zerwania
 Zbudziłem się: sen zniknął, róży nie posiadam.
 Kolce w piersiach zostały. — Nie żądam kochania!

Może przyjaźni? — Któżby nie pragnął przyjaźni!
 Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć,
 Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
 Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.

O! przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi!
 Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc spolem,
 Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
 Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem. —

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłóśnie,
 Lub je żądło owadów jadowitych drażni:
 Jakże każda gałąska dręczy się niecznośnie
 Za siebie i za drugie! — Nie żądam przyjaźni!

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
 Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
 Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
 Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli?

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
 Chciałbym we śnie, z którego nie mię nie obudzi,
 Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata:
 Kochać świat, sprzyjać światu — z daleka od ludzi.
 Wilno 1823.

SEN.

(Z BYRONA.)

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny
 Śród otchłani nazwanych bytem i nicstwem,
 Nazwanych, lecz nieznanym. — Sen ma świat udzielny,
 Z rzetelną władzą rządząc nad marnem królestwem.
 Mary i życie biorą i postaci noszą;
 Rozczulają i dręcą i łechcą roskoszą;
 Troskiienne ciężarem przywalają sennym;
 I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
 One się do istoty naszej mogą wcielić,
 Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.

Jak posłańce wieczności, blysną i przepadną;
 Jako przeszłości duchy, często przyszłość zgadną;
 Jak wróżące Sybille, ciemność do ich ręki .
 Składa tyrańskie berło roskoszy i męki.
 One, gdy zechcą, na to przerobić nas mogą,
 Czem nie byliśmy nigdy; one rażą trwogą,
 Wywołując cień z grobów. Więc mary są cienie? —
 Przeszłość nie jestże cieniem! Czemże jest marzenie?
 Robotą duszy! Dusza może wyprowadzić
 Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
 Doskonalsze, od ziemskich kształty promieniste;
 Włać im duch trwalszy, niżli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam, co mi się dawniej przywidziało:
 Może we śnie — bo kiedy sen uwięzi ciało,
 Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
 I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę. —
 Zdało mi się, że widział młodych ludzi dwoje:
 Chłopca i dziewczkę. Stali na wzgórk u oboje;
 A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
 Niby jaki przylądek — tylko zamiast wody,
 W koło żywy krajobraz i powiewna fala
 Kłosów i sianożęci, i gdzieniegdzie z dala
 Porozrzucone chaty. Nad niemi dym bury
 Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
 Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce:
 Nie przypadek je sadił, lecz umyślne ręce.
 Chłopiec i dziewczka patrzą: ta na okolice,
 Piękuje jak ona sama, a ten na dziewicę.
 W nim rozwija się młodość, w niej piękność rozwita —
 W obojgu młodość, ale młodość rozmaita.
 Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżycy,
 Tak w pośród lat niewieścich jaśniała dziewica.
 Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
 Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
 Jedyne tylko widział swej kochanki lice.
 I widział ją przed sobą, w niej utkwiał źrenice —

I nie mógł ich oderwać; nie było w nim ducha,
 Ona była mu duchem; głosu jej, drząc, słucha,
 Ona była mu głosem; on swych oczu nie ma,
 Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
 Jej spojrzenia i wszystkie oglądał przedmioty,
 W świetle od niej odbitem. On nie ma istoty,
 Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
 W niej jako w oceanie wszystkie myśli zdroje
 Pogrzyżył; za jej słówkiem, za ręki dotknięciem,
 Krew w nim ścina się lodem, albo wre płomieniem;
 Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
 Serce boli i bólów przyczyny nie zgadnie.
 Lecz ona słodkich jego cierpień nie podziela,
 Wzdycha, lecz nie do niego: ma w nim przyjaciela,
 Ma brata — i nie więcej. On przestawał na tem,
 Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem;
 Teraz nie chce przestawać. Skądże ta różnica?
 Czas rozwiązał zagadkę: kochała dziewica,
 I kochała innego; i właśnie w tej chwili,
 Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
 Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
 Żeby leciał tak bystro, jak lecą jej chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny. Stoi u przedsienia
 Runak z siodłem do drogi. W gotyckiej kaplicy
 U ołtarza był chłopiec — nie widać dziewicy.
 Chłopiec błądy, samotny, przechodził się, myślił;
 Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakreślił,
 I z pochyloną głową na ręku oparty,
 Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
 Na części rozerwawszy, w drżącej ciśnie dłoni —
 I z gniewem w zębach szarpie, ale lez nie roni.
 Uspokił się nieco, zapalone lica
 Ostygły i zmartwiały. Wtem weszła dziewica:
 Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana.
 Choć dostrzegła, że była od niego kochana,

Że jej cień jako całun padł na jego duszę,
 I zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze
 Długie, straszne: nie zgadła, że miał cierpieć wiecznie.
 Chłopiec wziął ją za rękę; obojętnie, grzecznie,
 Spojrzał — i w tej mu chwili na zwierciadło lica
 Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
 I zagasła. I znowu czoło zaszło mrokiem —
 Znowu puścił jej rękę i powolnym krokiem
 Oddalił się w milczeniu; nie żegnał dziewicy;
 Rozstali się z uśmiechem. On wyszedł z kaplicy;
 Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
 Dosiadł konia, pojechał — i więcej nie wrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorósł młodzieńca. W obce pokolenia,
 W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniem słońcem
 Poił duszę płomieniem. On wiecznym był gońcem
 Na lądzie i na morzu. Do koła postaci
 Podobne jemu krążą — przyjaciół czy braci? —
 Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,
 I ów chłopiec był częścią każdego obrazu.
 Ujrzałem go nakoniec. Dziwacznie przebrany,
 Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,
 Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
 Co przeżyły imiona swoich budowników —
 Leżał — a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku.
 Kilka arabskich koni pasło się u stoku.
 Podróżni, których znużył upał całodzienny,
 Drzemali w cieniu ruin; on jeden bezsenny,
 Na rękę wsparty, oczy na północ obrócił,
 Z twarzą natchnienia pełną — rozmyślał, czy nócił? —
 Niebo czyste, tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
 Że ledwie co nie widać Pana Boga w niebie.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubińcem pierścionki zamienia.
 On ją pojął, mnogimi osypał dostatki;
 Widzę ją w cudzym domu, słyszę imię matki:
 Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
 Nadobne syny, córki. — — Ale za cóż ona
 Jakąś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
 Zdradzając tajną boleść, co jej serce toczy?
 Żrenico, niegdyś jasne, zamglila powłoka;
 Niby jakaś łza dawna przystygła do oka:
 Skądże to? Wszak z kochankiem złączona na wieki;
 Wszakże ten, co ją kochał, jest od niej daleki?
 Nie będzie myśli czystych złem życzeniem brudzić,
 Nie będzie jej westchnieniem nieumyślnem nudzić.
 Czego smutna? Wszak darmo wzajemności żądał,
 Darmo w jej oczach zimnych — nadziei wyglądał.
 Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jej katuszy;
 Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia.
 Widzę go przed ołtarzem; z nim oblubienica
 Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica:
 Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
 Owa gwiazda błęgiego młodych lat poranka;
 Musiał o niej zapomnieć. Stoi zadumany,
 Rozpatruje kościelne sklepienia i ściany:
 Zadrżał i w tej mu chwili na zwierciadło lica
 Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
 I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem.
 Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
 Powtarza jej przysięgi, których nie rozumie;
 Z kim jest, gdzie jest, zapomniał w sprzecznych myśli tłumie.
 Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
 I listek poszarpany — i swoją dziewicę.
 Te przypomnienia kirem śmiertelnej zasłony
 Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony —
 Po cóż w takiej godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę. — Jakie w niej odmiany!
 Ona w suchotach duszy. Jej rozum, zgnębany,
 Opuścił ster myślenia; wzrok jej dziko lata,
 Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata;
 Ona jest jak królowa nad państwami marzeń.
 Jej myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń;
 Kształty, niedotykalne zmysłem śmiertelnika
 I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka,
 I w poufalej wzywa do siebie rozmowie —
 Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie.
 Lecz nieraz mędrzec głębiej w obłąkanie wpada,
 Jeśli melancholii smutny dar posiada:
 Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
 Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
 I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
 Rozkrywa rzeczywistość wystygłą i nagą.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widzę z odzienia.
 Kształty przy nim krążące znikły z senną marą —
 Lub wojnę z nim toczyły. On stał się ofiarą
 Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby bliski
 Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
 Stoły jego zgryzota jak harpia plami,
 On jak dawny Mitrydat karmił się jadami;
 A trucizna nie była szkodliwą dla niego,
 I służyła mu nakształt chleba powszedniego:
 Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał.
 Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał;
 Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
 Wdał się w rozmowę z wielkim geniuszem świata.
 Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,
 Tajemna księga nocy stanęła otworem;
 Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi,
 Duchy go otoczyły — i został się z nimi.

Nie ma więcej zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się. — Jak dziwne wyroków zrządzenia!
 Mój sen, dla dwojga ludzi smutny koniec znaczy:
 Jednemu w obłąkaniu, obojgu w rozpacz. —
 Wilno, 1824 roku.

EUTHANAZJA.

(NAŚLADOWANIE Z BYRONA.)

Prędzej czy później, gdy mię czas owionie
 Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni:
 O niepamięci! wtenczas chłodne skronie
 Weź pod twą ochronę do grobowej cieśni.

Nie proszę ręki druha na dziedzica,
 Aby łyzy otrzeć, lub grabić zostałość,
 Lub żeby z włosem popsutnym dziewica
 Żalować przyszła, lub udawać żalność.

Po co najęte płaczków korowody?
 Samemu wstąpić pozwólcie do dołu!
 Nie chciałbym chmurzyć niczyjej pogody,
 I brać wesela kochanemu czole.

Przecież miłości! jeśli w twojej sile
 Poskromić jęki, marnym żalom sprostać:
 Ty sama osłódź rozstania się chwilę —
 Mnie, co odchodzę i tej, co ma zostać!

Maryllo moja! kiedy przeszłe bole
 Z ostatnim puszcę w niepamięć oddechem,
 Niech boski pokój widzę na twem czole:
 A w bolach na cię patrzyłbym z uśmiechem.

Lecz oko martwe zrazi wzrok niebieski,
Przed bladym licem zbledną twe powaby:
Uronisz łeskę — człowiek dla tej łeski
Jak żyjąc słabiał, tak i umrze słaby.

A więc bez żalu i pobożnej prośby,
Samotny będę w ostatniej godzinie:
Dla nieszczęśliwych śmierć mało ma groźby,
Ból jeszcze zmniejszy i prędko przeminie.

Lecz umrzeć, odejść: kędy tyle gości
Rusza przedemną, kędy reszta ruszy —
Przepadać w nicość, jak pierwej z nicości
Wszedłem dla życia, żyłem dla katuszy? —

Gdyś wiek przeminął, wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe: a wyznasz człowieku,
Czemkolwiek byłeś, że lepiej być niczem.

C I E M N O Ś Ć.

(Z BYRONA.)

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny! —
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny;
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olśnawszy, uciekły i znikły —
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było;
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło —
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło. —

Wszystko płonie. I wspaniałe gmachy
 Panów koronowanych i wieśniacze dachy,
 Domy świata całego jako lampy płoną,
 Miasto nakształt ogromnych stosów zapalono;
 I tłum ludzi do koła pożaru się tłoczy:
 Chcą jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
 O, jak zazdrości godni ci, co się przywlekli
 Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
 Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
 Wszyscy, z jednem uczuciem nadziei i trwogi!
 Rzucono ogień w puszcze: i doczesnym blaskiem
 Puszcze gorą, ciemniejszą i wałą się z trzaskiem;
 Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
 I zagasły na wieki.

Znowu noc do koła;
 I twarz ludzi z rozpaczy nie po ludzku błyska,
 Odbijając ostatnie promyki ogniska.
 Jedni padli i oczy schowawszy, łzy leją,
 Drudzy na chudych łokciach podparłszy, się śmieją.
 Ten biega tu i owdzie, suche żagwie zbiera,
 Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera;
 Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
 Jak kir nad nieboszczykiem światem rozciągniony.
 Znowu pada i bluźni i w piasku się ryje,
 Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie — wyje.
 Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
 Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.
 Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje,
 Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i żmije
 Pełzną ludziom pod nogi i żółłami syczą;
 Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobyczą.

Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu.
 Głodni, żelazem sobie szukali obłowu,
 I z zakrawionym kąskiem na stronie usiedli,
 I w milczeniu rozpaczy samotni go jedli.

Nie została miłości iskra w ludzkim łonie,
 Jedna była na całej ziemi myśl — o zgonie
 Niechybnym i niesławnym. Ząb głodu pożerał
 Wszystkich i narodami świat cały wymierał.
 Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie;
 Chudy karmił się, jedząc chudsze od siebie,
 Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
 Wierność panu swojemu: żywego pilnował
 Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi.
 Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi;
 Sam nie dotknął pokarmu, z żałościami jęki
 Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki,
 Co go już nie głaskała — i zdechł. I nareszcie
 Wszyscy ludzie wymarli.

W pewnem ludnem mieście

Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciele.
 Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
 Dogasało ognisko i kościelne sprzęty
 Święte, czekały w stosach na ogień nieświęty.
 Jak szkielety chudemi rękami popołu
 Grzebiąc, dostali kilka iskierek z popiołu,
 I pracując piersiami słabemi, ognisko
 Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
 Zwrócili oczy, gdzie się płomień żywiej pali:
 Ujrzeni się, wzdrygnęli, padli i skonali
 Zgrozą widoku swego zabili się społem;
 Nie poznali się z twarzy, lecz głód nad ich czołem
 Wyrzył: nieprzyjaciele.

Świat cały był stepem;

Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym.
 Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia:
 Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
 Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie,
 I nic się nie poruszy w ich milczącym łonie.
 Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły:
 Maszty ich kawałami padały i gniły,

I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle.
 Burze usnęły, fale spoczęły w mogile,
 Bo nie było księżycy, coby je podźwignął.
 Wicher w stęchłym powietrzu uwiązał i zastygnął.
 Znikły chmury; to dawne ciemności narzędzie
 Stało się niepotrzebnem: ciemność była wszędzie.

M A J T E K.

«Słuchaj o majtku, nieszczęsny zbiegu,
 Jakżeś nas prędko porzucił!
 Od ojczystego odbijasz brzegu,
 Ażebyś więcej nie wrócił?»

Przecież wkopana w ziemię żrenica
 Ku nam strzeliła wesoło;
 Uśmiech, gość rzadki, zstąpił na lica,
 Dawna pogoda na czoło. —

Każdy się krząta, pragnie odwlekać —
 Tyś jeden skoczył z pośpiechem —
 Możnaż z ojczyzny śpiesznie uciekać,
 Uciekać — jeszcze z uśmiechem?»

Słuchaj — rzekł majtek — jam od lat wielu
 Widział i kraj ten i ludzi:
 A com ja widział, nigdy wesela
 W sercu rodaka nie wzbudzi.

Widziałem mężną cnotę w ucisku,
 W głowach pospółstwa ciemnotę,
 W głowach rozumnych widoki zysku,
 A w sercu niewiast pustotę.

Ja, co mię własne szczęście nie nęci,
Com uniesioną z powodzi
Resztę mych myśli, uczuć i chęci
Ojczystej powierzył łodzi:

Mógłżem skosztować powabów życia,
Gdy, skoro wicher zawieje,
W ostatniej łódce bliskiej rozbicia,
Ostatniem widział nadzieje?

1822.

POŻEGNANIE CHILD HAROLDA.

(Z BYRONA.)

I.

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!
Już w mglistej niktujesz powłóce;
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.
Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany!
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

II.

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błysnie jasnemi:
Zobaczę niebo, zobaczę morze,
Lecz nie zobaczę mej ziemi — —
Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żaloba pokryje;
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

III.

Pójdź tu mój paziu, paziu mój mały!
 Co znaczą te łzy i żale?
 Czyli cię wichrów zdąsanych szala,
 Czy morskie lękają fale?
 Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
 W dobrym okręcie, w pogodę,
 Lotny nasz sokoł nie tak wesoło,
 Jak my polecim przez wodę.

IV.

«Niech fala szumi, niech wicher głuży,
 Nie dbam: pogoda czy słońce —
 Te łzy wyciska z głębi mej duszy
 Nie bojaźń, ale tęsknota.
 Bo tam mój stary ojciec zostanie,
 Tam matka zostanie droga,
 Tam wszyscy moi, prócz ciebie, panie,
 Prócz ciebie tylko i Boga.

V.

«Ojciec spokojnie mię błogosławił,
 Nie płacze, ani narzeka;
 Lecz matka, którąm we łzach zostawił,
 Z jakąż tęsknotą nas czeka?» —
 Dość, dość mój paziu! te łzy dziecinne
 Żrenicy twojej przystoją:
 Gdybym miał równie serce niewinne,
 Widziałbys we łzach i moją. —

VI.

Pójdź tu, mój giermku, giermku mój młody!
 Skąd ci ta bladeść na twarzy?
 Czy rozlukanej lękasz się wody,
 Czyli francuskich korsarzy?

«O nie, Haroldzie! Nie dbam o życie,
 Nie dbam o losów igrzyska:
 Ale zostawił żonę i dziecię —
 To mi lży gorzkie wyciska.

VII.

«Żona na końcu twojego siola
 W zielonej mieszka dąbrowie;
 Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła:
 Cóż mu nieszczęsna odpowie?» —
 Dość, dość, mój giermku! Słuszna ta żalność;
 Ja, choć jej ganić nie mogę,
 Mniejszą mam czulość, czy większą stałość:
 Śmiejąc się, puszczam się w drogę!

VIII.

Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy —
 Bo nim zabłyśnie poranek,
 Z błękitnych oczu te lży osuszy
 Nowy mąż, nowy kochanek. —
 Nie żal mi ziemi, gdzie młodość strawił,
 Nie straszne podróże wodne;
 Żaluję tylko, że nie zostawił
 Nic, coby było łez godne.

IX.

Teraz po świecie błędzę szerokim,
 I pędzę życie tułacze.
 Czegoż mam płakać, za kim i po kim,
 Kiedy nikt po mnie nie płacze? —
 Pies chyba tylko zawyje z rana,
 Nim obcą karmiony ręką,
 Kiedyś swojego dawnego pana
 Wściekłą powita paszczęką.

X.

Już okręt piersią kraje głębinę,
 I żagle na wiatr rozwinął;
 Nie dbam, ku jakim brzegom popłynę,
 Bylebym nazad nie płynął.
 Gdy mię tve jasne znudzą kryształy,
 Ogromna, modra płaszczyzno,
 Powitam lasy, pustynie, skały —
 Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

 DZIEWICA NA ROZDROŻU.

 IMPROWIZACYA DO H... S...

DZIEWICA.

Dwie drogi mam przed sobą: nie wiem kędy wiodą.
 Wychodzę na świat z domu, od ojca, od matki,
 Szukać i zbierać życia doczesnego kwiatki,
 Co mi będą pociechą, rodzicom nagrodą:
 Lecz jakie są, gdzie rosną, nic widzieć nie mogę.
 O mój dobry pielgrzymie, opowiedz mi drogę!

PIELGRZYM.

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę.
 Bo błędząc szukać drogi, śmiertelnych udziałem.
 Na usłudze podróżnych już się zestarzałem;
 Wielu pyta, lecz późno: ty się pytasz w porę.

Dwa są życia ogrody i dwie do nich drogi:
 Jedna idzie od Wschodu, druga od Zachodu.
 Ta jest strona skalista i przybrana w głogi,
 Do tego, kędy wiedzie, podobna ogrodu.

Twarda ziemia w ogrodzie i twarde są plody,
 Przedniejszą tam ozdobą są dęby i skały;
 Długo rośnie tam owoc, nim będzie dojrzały,
 Na wysokich zbyt drzewach rwać trzeba jagody.
 Nie ma tam chwil i godzin, same tylko lata;
 Nie ma pór, jedna wiecznie panuje pogoda;
 Nie ma farb, wszystko kryje jednofarbna szata;
 Nie ma nowych zwyczajów, wiecznie jedna moda;
 Nie znają tam co różność, różnaitość, mnóstwo:
 Mieszkańcy tam, jednacy, jako jedno Bóstwo,
 I myśl ich zawsze jedna, jako jedna wieczność,
 Łączy przeszłość, obecność i przyszłą konieczność.
 Po cierniach i opokach spoczywa wygoda,
 Wpóśród trudów błogiego używając stanu;
 Ich użycia, żywota godłem — zdrowa woda,
 A ich duszy obrazem — cisza oceanu.
 Ten ogród jest ogrodem Cnoty czarownicy —
 Nie powabny — i groźni siedzą tam strażnicy:
 Lecz kto ufa, że Boga, że siebie nie zdradzi,
 Lew mu bramę otworzy, słoń go zaprowadzi.

Na prawo widzisz drugą. Druga idzie ścieżka,
 I gładka i pochyła i kwiatami zdobna:
 Do tego, kędy wiedzie, ogrodu podobna.
 Tam druga czarownica, zwodna Roskosz mieszka.
 Widziałś w piękne lato, przy zachodzie słońca,
 Na powietrzu krąg drobnych, niezliczonych muszek?
 To jest obraz mieszkańców, ich myśli, serduszek,
 Ich żywota w ogrodzie i obraz ich końca!
 Murawa tam posłaniem: lecz wpośród uśpienia
 Nie odświeża mieszkańców balsam ukrzepienia.
 Różnofarbnym czarują tam kwiaty kolorem:
 Lecz które kwitły z rana, więdniję wieczorem;
 Tam mieszkańcy tak różni, jak różne owadki;
 Ich myśli tak odmienne, jak odmienne kwiatki.
 Używają ogrodu, niesyci ogrodu;
 Piją miód i wypiuwszy niekontenci z miodu.

Nie myślą tam co było, co będzie za długo,
 Chcą samą, coraz inną obecnością władać;
 Jedną czaszą słodycze, gorycz piją drugą,
 Śmieją się, aby płakać, latają by spadać.
 Ich jestestwo jest lekkie, jak puszek i cienie,
 Tron ich chwały dźwigają Zefirów ramiona,
 Obrazem ich żywota jest senne marzenie —
 Ich szczęścia błyskawica osłepi i kona.
 Kto, w próżnym między niebem i ziemią zakresie,
 Chciałby mieć rydwan szczęścia ciągnion przez powiewy,
 Niech tu idzie z ufnością i nadzieją Ewy:
 Wąż mu bramę otworzy, motyl go zaniesie.

Masz ogrody i drogi, masz otwarte pole:
 Lecz wybór chciej, dziewico, na twej złożyć szali;
 Bo żeby woleć jedno, na to Bóg dał wolę,
 A rozum, byśmy z woli przed Nim sprawę zdali.

Z A L O T Y. ¹

Póki córeczki opiewałem wdzięki
 Mamunia słucha, stryj czyta;
 Lecz skorom westchnął do serca i ręki:
 Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
 Pan stryj o rangach, dochodach,
 A pokojowa służącego bada
 O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jedną tylko duszę
 I na Parnasie mam włości;
 Dochodów piórem dorabiać się muszę,
 A ranga — u potomności! —

¹ Z Album p. Moszyńskiego.

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
 Czy kochać mogą? Dowiodę:
 Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
 Pójdź w wieczór na mą gospodę. —

DWA SŁOWA. ¹

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
 Nie mam czasu o nic pytać:
 Patrzę w oczy, ustek śledzę;
 Chciałbym wszystkie myśli czytać
 Wprzód, nim w oczętach zaświecą;
 Chciałbym wszystkie słówka chwycić
 Wprzód, nim od ustek odleczą.

I nie potrzeba tłumaczyć,
 Co chcę słyszeć, co zobaczyć:
 Rzecz nie trudna i nie nowa
 Moja luba: te dwa słowa:
 «Kocham ciebie! kocham ciebie!»

Innego nie chcę widoku,
 Kiedy z tobą będę w niebie;
 Tylko niech te dwa wyrazy,
 Napisane w twojem oku,
 Odbite po tysiąc razy,
 Widzę wszędzie w koło siebie.

I innej muzyki w niebie
 Nie chcę od wschodu jutrzeńki
 Słyszeć od zachodu słońca:

¹ Z Album p. Moszyńskiego.

«Kocham ciebie! kocham ciebie!»
 Dość mi tej jednej piosenki
 Z warzającami bez końca. —

DO D... D...

Moja pieszczołka gdy w wesołej chwili,
 Pocznie szczebiotać i kwilić, i gruchać:
 Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
 Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
 Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
 I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość, gdy oczki zapali,
 I pocznie mocniej jagody różować,
 Perłowe ząbki błysną wśród koralu:
 Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
 Usta pomykam i słuchać nie żądam,
 Tylko całować, całować, całować.

Odessa, 1825.

R O Z M O W A.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
 Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
 Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
 Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
 Które, nim słuch twój i serce dościgną,
 W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam:
 A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
 Że ja kochania mojego nie zdołam
 Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;
 I, jak w letargu, nie widzę sposobu
 Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem:
 Teraz je z twemi chcę stopić ustami,
 I chcę rozmawiać tylko serca biciem —
 I westchnieniami — i całowaniami.
 I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
 Do końca świata i po końcu świata!

Odessa, 1825.

S E N .

Chociaż zmuszona będziesz mię porzucić:
 Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
 Rzucając nawet, nie chcesz mię zasmucić,
 I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem, niech jeszcze z wieczora
 Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
 A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
 Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
 Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy:
 Niechaj rokosznie usypiam na wieki,
 Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
 Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
 Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
 I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
 Znowu mię ramie kochane otoczy;
 Zbudzę się, myśląc, że chwilę drzemałem,
 Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa, 1825.

DO D... D...

ELEGJA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy —
 Na dzień cały? — Nie, takiej nie życzę katuszy!
 Gdyby godzinę tylko — szczęśliwe stworzenie,
 Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie!
 Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
 To mi gniew serce miota i czoło zachmurza¹,
 To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
 To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
 Ty, albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
 Albo lękasz się nudy z żalonym natrętem. —

Ty mię nie znasz! Namiętność zaćmiła me lico:
 Ale spojrzuj w głąb duszy! Tam znajdziesz skarbnice
 Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci,
 I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
 Dziś ich nie możesz dojrzeć. — Wszak i na dnie fali,
 Kiedy ją wichur zmięsza, kiedy piorun pali:

¹ W Album p. Piotra Moszyńskiego:

Raz mię zapał w otchłaniach piekielnych zanurza,
 Znowu ku niebu wznosi — a zawsze daremnie!
 Lecz w duszy być nie możesz. — Patrz głęboko we mnie.
 Usta mię źle tłumaczą, zawodzą źrenice:
 Czas tylko w sercu mojem odkryłby skarbnice
 Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci,
 I wyobraźni, i t. p.

Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody? —
 Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!
 O, gdybym zyskał pewnoś, że jestem kochany
 Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
 Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada! ¹
 O, niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada! —

Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazy,
 Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać roskazy!
 A jeźliby czasem duma rozdąsana
 Kazała poddanemu udać humor pana:
 Śmieję się luba! Choć duma przyznać się zabrania:
 Sługą będę. Cóż miałbym do rozkazywania?
 Abyś raczyła chwilę dłużej ze mną bawić,
 Podług mej woli suknię i włosy poprawić;
 Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych,
 Słuchać starych oświadczeń i piosneczek nowych:
 Wszystko byś niewielkiemi dokazała trudy,
 Godziną cierpliwości, pół godziną nudy,
 Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
 Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać;
 Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
 Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłumaczyć.
 W twe ręce powierzwszy moją przyszłą dolę,
 Na twem złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
 Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie,
 Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
 Wtenczas by dziki zapęd, co mną dotąd miota,
 Wypadł z duszy jak z łodzi miotanej niecnota,
 Który burze sprowadza i balwany pieni.
 Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
 Chociażby los groźnemi falami powiewał,
 Jak syrena, bym nad nie wzbijał się i śpiewał.

¹ W Album p. Moszyńskiego:

Którą mię smutna przeszłość grozi bez ustanku:
 Anioła byś w piekielnym widziała kochanku! —

G O D Z I N A.

ELEGJA.

Przed godziną źrenicy nie zdjawszy z zegarów,
 Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy:
 I słuchem natężonym pośród miejskich gwarów,
 Rozpoznawałaś z dala łoskot mojej stopy.
 Dzień miał jedną godzinę, w której — wspomnieć miło,
 Że nie u mnie jednego serce żywiej biło!
 Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
 Jak Ixion w koło niej krążyłem z mą duszą.
 Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
 Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem,
 Bawiąc się z mnóstwem drobnych lecz miłych pamiątek:
 Jakie było przyjęcie? rozmowy początek?
 Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu —
 Po niem niezgoda, po niej milsza zgoda znowu.
 Smuciłem się: ty z oczu powody wyśledzasz;
 Przychodziłem z prośbami: ty jedne uprzedzasz,
 Drugich wymówić nie dasz: na jutro odkładam,
 I znowu jutro nie śniem; czasem gniewny wpadam:
 Rozbrajasz mię uśmiechem! a gdym w gniewie przebrał,
 Gnicwałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał —
 Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
 Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
 Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma! —
 Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
 Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
 Patrzy i schnie i oczu nie może nasycić —
 Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
 Od niej milsze dni zaczął i na niej zakończył,
 Ona, w zbrukanem pasmie mojego żywota
 Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota;
 Jam się do niej jak prządek skrzydlaty uczepił,
 Snuł ją w koło i w niej się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę,
 Godzina uderzyła. — Gdzież są jej źrenice?
 Gdzie myśli? — Ona teraz w czulej pieści dłoni
 Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni
 Usta ciśnie i łza jej na cudzą twarz spada,
 I serce biciom cudzej piersi odpowiada:
 Dziś możeby tej nowej pary nie rozdzielił
 Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! O tejże godzinie
 Niegdyś cię porzuciłem: wracam w twą świątynię,
 Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
 Obląkane na chwilę ponętą łakoci. —
 Daruj. Ponęta szczęścia zawsze nazbyt silna;
 Zbyt trudno się przekonać, że zawsze omylna.
 Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię;
 Wszak jest nadzieja w czasie i milczącej dumie.¹

Lecz nadzieje dalekie! Dziś, pogoda nęci
 W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
 Czas przechadzki: dla czegoż me odejście zwlekam?
 Za każdym drzwi ruszeniem jej posłańca czekam! —
 Niekiedy rąk jej zdradne charaktery czytam,
 Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
 Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu:
 Ach! była to godzina dawna — moc nałogu. —

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
 Mimo dotkliwą boleść i długą żalobę,

¹ W Album p. Moszyńskiego czytamy jeszcze następane wiersze:

Patrz — weszła na mien oknie wędrowna roślina:
 Lecz nie ma liściom miejsca. Już gałąski zgina;
 Kiedy te zwiędną, ziarno zmuszone umierać —
 Tak i ja nie mam przed kim mych skarg rozpościerać:
 Gorzki ten owoc cierpień, kiedy w ustach skona,
 Pewnie i w sercu potem zamorzy nasiona.

Zabłąkawszy się w myślach — niestety, błąd lubyl
 Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swej zguby —
 Bieży: i tak się mocno złudzeniem omami,
 Że już progi przestąpił — i zalał się łzami. —

W DZIEŃ ODJAZDU.¹

Cóż — choć miasto porzucę, choćby z oczu znikli
 Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli?
 Mój wyjazd nie okryje nikogo żałobą,
 I ja nie chcę lzy jednej zostawić za sobą!

Skąd mi tu żal niewczesny staje u podwojów?
 Raz jeszcze do samotnych wracam się pokojów,
 Jakbym czegoś zapomniał; wzrok mój obłąkany
 Jeszcze wraca się żegnać przyjacielskie ściany!
 One śród tyłu ranków, śród nocy tak wielu,
 Z cierpliwością słuchały mych westchnień bez celu.
 Przy tem oknie częstokroć wieczór przesiedziałem,
 Wyglądając, nie wiedząc czego wyglądałem — —

Ustałem, gdy mię znudziła tożsamość widoków,
 Budząc echa loskotem mych samotnych kroków.
 Znowu odedrzwi ku drzwiom błędzę bez zamiaru,
 Liczę takt w takt żelazne stąpanie zegaru;
 Lub szeptania robaczka, co gdzieś utajony
 Zdaje się, że kołace do drzwi swojej żony.

Bliski ranek. Czekają woźnice natręty.
 Jedźmy! Jak niewitany przestąpiłem progi,
 Tak odjedżdżam: nikt dobrej nie życzy mi drogi. —

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
 Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
 Jechałem i patrzyłem i pomiędzy drzewy
 Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
 Plakałem. — Miło płakać, póki wiek namiętny.
 Stokroć boleśniej płacze starzec obojętny!
 Młodemu lekko umrzeć. On, nie znając świata,
 Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata:
 Ale starzec, co życia zdjął szatę obłudy,
 Niewierzący w nadludzkie ani w ludzkie cudy,
 Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie. —
 Jak po błoni, kwitnącem kolorami tęczy,
 Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
 Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiędłej gałęzi;
 Chociaż napotka różę i w majowej więzi
 Pragnąc odpocząć, martwą zapłacze się dłonią.
 Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią,
 Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
 Nosilem przez te ludne place i ulice,
 I roje pięknych niewiast spotykałem codzien;
 Chcą mię poznać — dla czego? — Że jestem przychodzień!
 Działwa pędzi motyla, póki z dała świeci;
 Złowi — spojrzy i ciska: niechaj dalej leci!
 Lećmy! Szczęściem, zostały pióra do powrotu:
 Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu! —

Odessa, 29. października 1825.

Z P E T R A R K I.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przezyste wody,
 W których zwierciadlanej fali
 Laura kąpała swą anielską postać!
 Drzewko wysmukłej urody,

I ty będziesz święte u mnie!
 W twym cieniu lubiła zostać
 Nie raz sama zmyślona,
 I prześliczne jej ramiona
 Spoczęły nieraz na twej majowej kolumnie.

O błonia, których brylantowa rosa
 Nie raz obwiana jej lekkimi szaty;
 I wy trawki i wy kwiaty,
 Ozdobo piersi i włosa:
 Ostatni raz dajcie ucha
 Ostatnim żalom cierpiącego ducha!
 Jeśli tak chciały wyroki
 I niebios okrutna wola,
 Ażebym cierpiał i płakał do zgonu:
 Niech przynajmniej moje zwłoki
 Pośród zielonego pola
 Zasną, gdy duch uleci ku bramom Sionu!

Z niewielką umrę trwożą,
 Choć umieram w lat mych kwiecie,
 Jeśli nadzieję uniosę błogą
 Że duch mój pośród tej błoni,
 W małej i cichej ustroni
 Zostawi łódkę, w której błakał się po świecie.

Może którego poranka,
 Piękna, okrutna kochanka
 Zabłądzi w znane doliny,
 Gdzieśmy szczęśliwie pędzili godziny,
 I swe jasne, wdzięczne oko
 Zwróci, szukając mię wszędzie.
 Ujrzy wzgórek pod opoką:
 Ach! to mój grobowiec będzie;
 I może wtenczas iskierka miłości,
 Albo litość ją poruszy,
 Westchnie, a to westchnienie za progiem wieczności
 Odezwie się w mojej duszy.

I nad mogiłą stanie zamysłona:
Oczy jej zaćmi łez mglista zasłona.

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku
(Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna)
Kwiaty na pierś jej trząsał klejnotów potokiem;
A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo różnofarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,
Drugie pomiędzy warkoczów pierścienie
Sypiąc się, błyszczą jak girlanda tkana
W perły i drogie kamienie.
Ten kwiatek do nóg jej pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień rzucić,
Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nócić:
«Tu miłość włada!»

Natenczas, pełen świętego przestachu,
Myślałem, że z niebios gmachu
Zstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny ileż razy
Uniosły duszę w tak rokoszne błędy,
Że otoczony rajskimi obrazami
Pytałem sam siebie:
Jak tu przybyłem? i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie! —
Ostafiewo 1827.

NA POKÓJ GRECKI.

(W domu księżny Zeneidy Wołkońskiej, w Moskwie.)

Skróś ciemnoty wiedziony jej gwiazdzistym wzrokiem,
Goniąc białą jej szatę po szybach hebanu,
Wszedłem. — Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumia, zwłoki Herkulanu?

Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo,
 Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo!
 Z mozaiki świat cały: każdy jego szczątek
 Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiętek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga:
 Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz Boga.
 Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydić,
 Depczących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
 I napowrót w marmuru ukrywa się łonie,
 Skąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

W koło pędzłem i dłutem strojne sarkofagi,
 Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
 Dziś, same na proch lecąc, potrzebują trumny.
 Gdzieniegdzie ścięta głowa nieznaney kolumny.
 Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
 Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam, od starości ledwie na nogach się trzyma
 Obelisk, ten przychodzić z kraju Mizraima.
 Widzisz na nim te rysy dziwacznej osnowy,
 Te pisma zatraconej dawnych sffixów mowy?
 To hieroglif! — Pod jego zasłoną leżąca
 Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
 Jak mumia, zamknięta w balsamiczne łożo,
 Cała, nieskazitelna — zmartwychwstać nie może!

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
 Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia żąb wieku!
 Patrz na ów kamień drogi, zaniedbany w piasku:
 Niegdyś był cudnej barwy, słonecznego blasku;
 Ileż wieków przeświecił: aż wylawszy z łona
 Całą jasność, zamierzchał jak gwiazda zgaszona. —

Sród gruzów jeden cały stał obraz Saturna.
 Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna;

W łonie jej zwolna płomyk przebudza się błądy!
 Czy to zmartwychwstającej geniusz Hellady? —
 Wzniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
 Podlatując, raz jeszcze promieniami wieńczy
 Skronie bogów, niebianek, drzemiących w około,
 I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O, niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią
 Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzemią:
 Ciebie tylko niech, piękna przewodniczko, zbudzi
 Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi! —
 Swawolniku! Uciekłszy z Afrodyty łona,
 Drzemiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.
 Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje — ¹
 O piękna Nimfo! bądźmy nabożni oboje! —
 Niestety! Przewodniczka chłodnym rzutem oka,
 Jak laską Merkurego, uderza z wysoka,
 I duszę mą, lecącą w roskoszy kraj błogi,
 Wypędza bez litości za nadziei progi!

Cóż opowiem, wrócony do śmiertelnych kraju? —
 Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do rajcu,
 Z duszą napoły tęskną napoły radosną!
 Słyszałem już tę rajską rozmowę wpół-głośną,
 I widziałem to rajskie pół światła, pół cienia,
 I doznałem — Niestety, tylko pół zbawienia! —

Moskwa, 1827.

¹ W Album p. Piotra Moszyńskiego;

Two bóstwo bez ofiary opuścić nie można,
 O przewodniczko piękna, bądź równie pobożna! —
 Rzekłem — i chcący bóstwa zająć się usługą.
 Ku niemu jedną rękę wyciągnąłem, drugą —
 Niestety! Przewodniczka i. t. d.

PRZYPOMNIENIE.

(Z PUSZKINA.)

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc, w półprzejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mi samotnemu rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką;
Wtenczas mię ukąszenia serdecznej gadziny
Bezczynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i z przestraczem czytam własne dzieje;
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żaluję i gorzkie łyzy leję —
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

PODRÓŻNY.

(Z GOETHEGO.)

PODRÓŻNY.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!
I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona!

Pozwól mi na tym zrębie opoki
 Złożyć z siebie
 Podrózne tłómoki,
 I odpocząć blisko ciebie.

NIEWIASTA.

Gościu! jakie was rzemiosło
 W takim lata upale
 Po tej piaszczystej skale
 Aż w nasze strony zanosło?
 Może wy kupcem jesteście,
 I z towarami nabranemi w nieście
 Zwiedzacie sielan mieszkania?
 Gościu! ty z mego śmiejesz się pytania?

PODRÓŻNY.

Towarów nie mam. Idę w bliskie miasto.
 Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
 Pokaż mi, śliczna niewiasto,
 Krynice, skąd pijesz wodę.

NIEWIASTA.

Tam kędy skały wyżyna,
 Idź dalej — a ta drożyna
 Wiedzie do świetlicy,
 Gdzie mieszkamy,
 Do krynicy
 Skąd wodę mamy.

PODRÓŻNY.

Widzę przemysłnej ręki ludzkiej ślady
 Pośród zarośli cienia:
 Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy
 Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

NIEWIASTA.

Dalej, wyżej —

PODRÓŻNY.

Mehu powłoka
 Okryła sklepienia łuki;
 Poznają ciebie, twórczy duchu sztuki:
 Twą pieczęć nosi opoka.

NIEWIASTA.

Dalej, pielgrzymie —

PODRÓŻNY.

Tu depczę napisy —
 Daremnie czytać! zatarły się rysy,
 Które mi twórca tej arcy-sztuki
 Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy prawnuki.

NIEWIASTA.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia
 To na kamieniach rosnące ziele?
 Tam wyżej, gdzie się droga zakrzywia,
 Jest przy mej chacie kamieni wiele.

PODRÓŻNY.

Wyżej?

NIEWIASTA.

Zaraz na lewo,
 Gdzie wśród krzaków wyższe drzewo —
 Tu.

PODRÓŻNY.

O Gracje! o Muzy!

NIEWIASTA.

Widzisz naszą gospodę?

PODRÓŻNY.

Świątyni gruzy!

NIEWIASTA.

Niżej na boku,
 Słyszysz szum potoku?
 Stamtąd czerpiemy wodę.

PODRÓŻNY.

Dotąd w całej życia sile
 Roztaczasz skrzydła na twej mogile,
 O geniuszu dzielny!
 Chociaż twoje arcydzieło
 W około ciebie runęło,
 Tyś nieśmiertelny!

NIEWIASTA.

Zaczekaj, zaraz z gospody
 Przyniosę kubek do wody.

PODRÓŻNY.

Powiewna bluszczu szata
 Boskie kształty oplata.

Ze stosu gruzów, jakby z rozłamanej trumny,
 Jeszcze ku niebu dążycie spolem
 Dwie bliźnie kolumny.
 Tam siostra wasza sama stoi między groby:
 Posepny mech nad waszem wywinął się czołem.
 Patrzycie z uroczystej wyrazem żaloby
 Na szanowne postaci
 Waszych sióstr i waszych braci:
 Zwalone pod nogi,
 White do ziemi
 Między ciernie, między głogi!
 Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

O, niewdzięczne przyrodzenie!
 W takiejże u ciebie cenie
 Arcydziel twych arcydzieło?
 Nieczule łamiesz własne świątynie,
 I siejesz na ich ruinie
 Głogi!

NIEWIASTA.

Jak moje dziecię usnęło!
 Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
 Odpocząć, czy tu na dworze?
 Jak miły chłodek! Biegnę do strumyka;
 Weź tyczasem na ręce mojego chłopczyka.
 Śpij, me złoto! śpij, mój synku!

PODRÓŻNY.

Słodki dziecka spoczynku!
 Święta Niewinność i święte Zdrowie
 Kolyszą z lekka jego wezgłowie.
 O, chłopczyku poczęty
 Na świętej przeszłości grobie,
 Niechaj Przeszłości duch święty
 Spocznie na tobie!
 Kogo duch jej okryje
 Skrzydły czarownemi,
 Ten z boskiem czuciem na ziemi
 Każdego dnia użyje.

O, ziarko lube,
 Wschodź i wypływaj
 Na wiosny chlubę,
 I towarzyszków głowy twym majem okrywaj!
 A kiedy się kwiat okruszy,
 Niech jak z rodzajnego drzewa
 Pełny owoc wypłynie z głębi twojej duszy,
 I przed oczyma słońca dojrze.

NIEWIASTA.

Oby życzenie twe spełniły nieba!
 Jeszcze śpi mój maleńki?
 Do wody na zakąskę nie mam nic prócz chleba.

PODRÓŻNY.

Dzięki i za to, dzięki!
 Jak tu w koło mnie na całym świecie
 Zieloność i kwiecie!

NIEWIASTA.

Mąż mój wkrótce powraca
 Do chaty! w polu skończyła się praca:
 Mój gościu, zostań do wieczora w chacie;
 Wieczierzaj z nami,
 Wieśniakami.

PODRÓŻNY.

Więc tu mieszkacie?

NIEWIASTA.

Tam na gruzach tej wielkiej połamanej bramy
 Chatka nie daleka;
 Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
 I nam darował;
 Tam mieszkamy.
 Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
 I umarł na naszych rękach. —
 A, moja duszko, już spałeś do woli!
 Patrz, jak wesół, jak swawoli!
 A, ty błazeńku!

PODRÓŻNY.

O, ty Naturo, wiecznie płodna matko!
 Wszyscy żyjący równie sobie mili:

Chcesz, aby wszyscy żyli i użyli!
 Wszystkich zarówno uposażasz — chatką.
 Jaskółka górne osiada pałace,
 Do gzymsów gniazdo przyczepia,
 Nie wie, jakie dłuta prace
 Zasklepia.

Gąsienica przędziwem obwinęła kwiatki,
 I w nich na zimię tuli swoje dziatki.

A ty człowieku,
 Między wspaniałe wyłomy
 Przeszłego wieku
 Nikczemne domy
 Stawisz sobie:

Używasz życia na grobie!
 Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

NIEWIASTA.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

PODRÓŻNY.

Niech łaska Boga
 Ciebie i dziecię w zdrowiu i szczęściu zachowa.
 Bądź zdrowa.

NIEWIASTA.

Szczęśliwa droga.

PODRÓŻNY.

Tą ścieżką z prawej strony,
 Jeśli się nie mylę,
 Trafię do miasta?

NIEWIASTA.

Tak jest, do Werony

PODRÓŻNY.

Jak stąd daleko:

NIEWIASTA.

Dwie mile.

PODRÓŻNY.

Bądź zdrowa.

Przyrodzenie! Wzywam twej opieki
 Na przeszłości mogile,

Zbłąkany pielgrzym daleki!
 Ty przed północy powiewem
 Prowadź mię w ciche ustronie,
 W południe okryj mi skronie
 Laurowem drzewem.
 A gdy z dziennych trudów końcem
 Wrócę na spoczynek
 Do mej chatki, zachodniem ozłoconej słońcem,
 Niechaj mię powita
 Taka piękna kobieta,
 I taki na ręku synek!

MORLACH W WENECJI.

(Z SERBSKIEGO.)

Gdym ostatniego cekina postradał,
 I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
 Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
 «Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta.
 Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach,
 I grosza więcej niż kamieni w górach.

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą,
 I dobrze piją i dobrze się bawią!
 Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą,
 I bogatego do domu wyprawią.
 Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błysnie,
 Na sebrnym sznurku twój kindżał zawiśnie.

Gdy wejdiesz do wsi, kędy się obrócisz,
 Do okien będą cisnąć się kobiety,
 A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
 Będą ci sypać do czapki bukiety.
 Pójdźmy, Dymitry, do okrętu wsiedziem,
 Pojedziem w miasto i bogaci będziemy.»

Wierzyłem głupi, rzucilem ojczyznę,
 I góral wszedłem w sen okręt z kamienia.
 Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
 W powietrzu darmo szukam odetchnienia,
 Ni wolnej myśli, ni wolnego ruchu,
 Przykuty, zdycham jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę me żale,
 Dziewczęta szydzą z mojej obcej mowy:
 Tu nawet moi rodacy górale
 Przyjęli język i obyczaj nowy.
 Jestem jak drzewo przesadzone w lecie,
 Słońce je spali, a wichur rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego!
 Wszystko to byli przyjaciele starzy;
 Witaj, wołali, synu Aleksego!
 Tu nie spotykam żadnej znanej twarzy.
 Jestem jak mrówka wychowana w lesie,
 Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie.

D O

(NA ALPACH W SPLUGEN.)

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
 Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
 Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
 I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
 I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
 I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach
 Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
 Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody;

I oczy przecierając z lejącej się wody,
 Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
 Szukam Litwy i domku twojego i ciebie:
 Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
 Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady;
 Lub może się nowemi miłośkami bawisz,
 Lub o naszych miłośkach śmiejąca się prawisz!
 Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
 Niewolnicze schylając karki, zowią Pani!
 Że cię rokosz usypia i wesołość budzi,
 I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
 Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła
 Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
 Jabym trudy podróże piosenkami słodził,
 Jabym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie
 I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie;
 I przeszłaby twa nóżka wodą niedotkniętą,
 A całowaniem twoje ogrzałbym rączkę! —
 Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą;
 Tam, zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
 A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
 Usnęła zbudziła się na mojem ramieniu! —

1829.

DO H.....

WEZWANIE DO NEAPOLU.
 (NAŚLADOWANIE Z GOETHEGO.)

Znasz-li ten kraj,
 Gdzie cytryna dojrzewa;
 Pomarańcz blask
 Majowe złoci drzewa?

Gdzie wieńcem bluszcz
 Ruiny dawne stroi,
 Gdzie buja laur
 I cyprys cicho stoi?
 Znasz-li ten kraj? —
 Ach, tam, o moja miła!
 Tam był mi raj,
 Pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten gmach,
 Gdzie wiele stoi podwoi,
 Gdzie kolumn rząd
 I tłum posągów stoi?
 A wszystkie mnie
 Witają twarzą białą:
 Pielgrzymie nasz,
 Ach, co się z tobą stało?
 Znasz-li ten kraj? —
 Ach, tam, o moja miła!
 Tam był mi raj,
 Pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten brzeg,
 Gdzie po skalistych górach
 Strudzony muł
 Swej drogi szuka w chmurach?
 Gdzie w głębi jam
 Płomieniem wrą opoki,
 A z wierzchu skał
 W kaskadach grzmią potoki?
 Znasz-li ten kraj! —
 Ach, tu, o moja miła!
 Tu byłby raj,
 Gdybyś ty ze mną była!

DO MEGO CICERONE W RZYMIE¹.

(DO PANNY HENRIJETY ANKWICZOWNY.)

Mój Cicerone! Oto na pomniku
 Jakieś niekształtne, nieznajome imię
 Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie —
 Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
 Kłótliva fala; może piasek niemy
 Zatai jego życie i przygody,
 I nigdy o nim nie się nie dowieny —

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
 Gdy w księdze twojej, wśród włoskiej krainy,
 Za cały napis to imię wykreślił,
 Na drodze życia ten swój ślad jedyny!

Czy drżącą ręką, po długim dumaniu,
 Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
 Czy go, odchodząc, uronił niedbale,
 Jako samotną łzę przy pożegnaniu? —

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
 Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
 Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
 Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu:
 Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
 Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu —
 Ach — ty wiesz może i przyszłość pielgrzym! —

Rzym, 1830.

¹ Z rękopisu.

«GDY TU MÓJ TRUP I T. D.»¹

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
 W oczy zagląda i głośno zagada,
 Dusza wówczas daleka, ach daleka!
 Błąka się i narzeka, ach narzeka!

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
 I liczne mam serca mego rodzeństwo:
 Piękniejszy kraj, niż ten co w oczach stoi,
 Rodzina miłsza, niż całe pokrewieństwo. —

Tam wpośród prac i trosk i wśród zabawy
 Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami —
 Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
 Tam pędzę za wróblami, muszlami.

Tam widzę, jak z ganku biała stąpa,
 Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
 I pośród zbóż jak w toni wód się kąpa.
 I ku nam z gór jak jutrzienka świeci. —

«TE ROZKWITŁE ŚWIEŻO DRZEWA I T. D.»

Te rozkwitłe świeżo drzewa
 Upajają słodką wonią;
 Wody szepczą, słowik śpiewa,
 I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
 I wiosną się nie weselę?

¹ Wszystkie następne wiersze są z rękopisu.

Bo sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielę!

Przed mym domem, w pomrok szary,
Stają muzycy tułacze:
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płaczę.

Zakochani to minstrele,
Pod oknem kochanki nucą:
Mnie nie bawią, ale smucą:
Z kim się muzyką podzielę?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu:
Opowiadać nie mam komu —
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świecę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwycę.

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele;
Ale dusza moja wdowa:
Z kimże piosnki te podzielę?

Rodzę myśli, rodzę słowa:
I czemuż się nie weselę!
Bo dusza moja jak wdowa,
Widzi tylko sierót wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słońca:
Nie przeminie żal pielgrzymy,
Be on wdowiec i sierota!

DO SAMOTNOŚCI.

Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
 Z codziennych życia upałów;
 Z jakąż roskoszą padam w jasno-czyste chłody
 Twych niezgłębionych kryształów!

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami!
 Igram z niemi jak z falami,
 Aż ostygły, znużony, złożę moje zwłoki
 Choć na chwilę w sen głęboki.

Tys mój żywioł: te jasnych wód szyby
 Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.
 I za cóż znowu muszę, nakształt ptaka-ryby,
 Wyrwać się w powietrze, słońca szukać okiem? —

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
 Równie jestem wygnańcem — w oboim żywiole! —

«POLAŁY SIĘ ME ŁZY, I T. D.»

Polaly się łzy me czyste, rześiste,
 Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
 Na moją młodość górną i chmurną,
 Na mój wiek męski, wiek klęski;
 Polaly się łzy me czyste, rześiste! —

«KOCHANEK DUCHÓW, I T. D.»

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
 Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało,
 Ileż to rączek tonąc uściskałem:
 A serce nigdy z sercem nie gadało!
 Wydałem wiele serca, jak ze skrzyni
 Młody rozrzutnik; lecz dłużnicy moi
 Nic nie oǳdali. Któż dzisiaj obwini,
 Że się rozrzutnik postrzegł, że się boi
 Zwierzać w niepewne i nieznanne ręce?
 Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice;
 Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńcze!
 Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwyczę,
 W ziemię zakopię — nie czas reszty tracić —
 Już czuję starość: mam żebrać w potrzebie?
 Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
 Rzetelnie, z lichwą, i na czas — On w niebie! —

«NAD WODĄ WIELKĄ, I T. D.»

Nad wodą wielką i czystą
 Stały rzędami opoki;
 I woda tonią przejrzystą
 Odbiła twarze ich czarne.

Na wodą wielką i czystą
 Przebiegły czarne obłoki;
 I woda tonią przejrzystą
 Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
 Błysnęło wzdłuż i grom ryknął!
 I woda tonią przejrzystą
 Odbiła światło — głos zniknął.
 A woda, jak dawniej czysta,
 Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę do koła
 I wszystko wiernie odbijam!
 I dumne opoki czoła
 I błyskawice pomijam.

Skąłom trzeba stać i grozić,
 Obłokom deszcze przewozić,
 Błyskawicom grzmieć i ginać:
 Mnie płynąć, płynąć — i płynąć! —

J. AUSUNNE, 1838.

OBJAŚNIENIA.

BALLADY.

Str. 14. ŚWITEZIANKA.

Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się Undiny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa Świteziankami.

Str. 32. TO LUBIĘ.

Ta ballada jest tłumaczeniem wiejskiej pieśni: (jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czyszczeniu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmienić, aby tem wyraźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemania ludu naszego. Najbliższe zaś jest zakończenie tej pieśni, przez śpiewanie Anioł Pański).¹

Str. 42 w. 33. Kołdyczewa nurty sinie.

Nazwisko jeziora.

Str. 68. UCIECZKA.

Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześcijańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali; Bürger ułożył z niej sławną swoją *Lenore*. Nie znając piosnki gminnej niemieckiej, nie można wiedzieć, o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci, i te służyły mi za wzór stylu.

¹ Ustęp objęty (.....) znajduje się w nocie do wydania wileńskiego roku 1822.

Str. 69. w. 6. Ma kwiat paproć i car ziele.¹

Zioła używane do gusłów w Litwie.

Str. 70. w. 19. Dom mój na górze Mendoga.

Góra Mendoga pod Nowogródkiem obrócona na smętarz; stąd w tamtych okolicach Litwy: «pójść na Mendogową górę» znaczy umrzeć.

Str. 73. w. 8. A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Ksiądz po staremu zamiast: książę.

Str. 76. w. 10. Odslonił — cały dwór klasnął.

Wyrażenie europejskie. W duchu wschodnim należałoby powiedzieć: cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu.

SONETY.

Str. 101. w. 10. Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna.

Bardon, czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego liryka greckiego Alceusza, który urodzony w Mitylenie, żył około roku 604 przed Chrystusem. — Ursyn, przydomek Juliana Niemcewicza.

Str. 101. w. 13. Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.

Leta, rzeka zapomnienia w Elizium, z której piły dusze zmarłych, aby zapomnieć doznanych na ziemi cierpień; a kiedy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niej pić miały, aby wyluzować z pamięci tajemnice tamtego świata (Mytologiczne).

SONETY KRYMSKIE.

W rękopisach, a mianowicie w Albumie p. Piotra Moszyńskiego, znajdują się różno, drobne warjanty — a właściwiej pierwsze rzuty — Sonetów Krymskich. Ogłaszamy z nich dwie najglówniejsze (do I i XVI), oraz sonet p. t. «Jastrząb» przez autora zupełnie wypuszczony ze zbioru krymskich obrazów.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE (do str. 107.).

Okrażyły mię stepy naksztalt oceanu;
Pocztowa łódź nurtami zielonemi brodzi;

¹ Te objaśnienia do ballady Ucieczka, znajdują się tylko w wydaniu poznańskim, roku 1832.

Śród fali łęk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Widać gdzieniegdzie kraśne ostrowy burzanu.

Noc mię zaszła w obszarach niezmiernego lauu.
Patrzę w niebo: gwiazd szukam, przewodniczek łodzi —
Tam zdała błyszczy obłok, jakaś gwiazda wchodzi —
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu;

W głuchem milczeniu nocy słyhać lot powolny
Dzikich gęsiów, drżących przebudzić sokola;
Słyhać co swej kochance szepce konik polny,

I gdzie wąż śliską pierśią dotyka się ziola.
Jak lubo drzemać, patrzeć i słyhać do koła,
W pół senuy, w pół na jawie, czuć i marzyć zdolny! —

XVI.

KYKYNEIS (do str. 117.).

PIELGRZYM.

Siność błyszczy pomiędzy wąwozów roztwory —

MIRZA.

To jest morze.

PIELGRZYM.

Po wodzie krążą śnieżne plamy —

MIRZA.

To obłoki, na które z wierzchu poglądamy.

PIELGRZYM.

A owe mchy na brzegu? —

MIRZA.

Mchy? — Powiedz: jawory!

PIELGRZYM.

Gruz nam ścieżkę zawałił —

MIRZA.

Tu stały futory.

Burza je w głąb' strąciła; jeszcze sterczą z jamy
Końce drzew zasypaanych, meczetów odłamy,
A wkoło nich latają — myślisz, że komary? —

To są orły! — Lecz stójmy — otchłanie pod nogą! —
Odjedźmy. Ja wnet skoczę w całym konia pędzie;
Ty z ukróconym cuglem, z gotową ostrogą —

Gdy zniknę z oczu, patrzaj tam, na skał krawędziol
 Jeżeli błysnie pióro: to mój zawój będzie;
 Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą. —

J A S T R Z ą B'.

Biedny jastrząb', wśród niebios porwała go chmura,
 W obcy zaniósł żywioł i dalekie strony;
 Nocną przesiąkły rosą, wichrami znużony,
 Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.

Nie bój się! żadna na cię nie czatuje ręka;
 Bspiecznyś, jakbyś siedział na leśnej gałęzi:
 On jest gościem, Giovanni! — kto gościa uwięzi,
 Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka!

Wspomnij na moje, wspomnij na swe własne dzieje! —
 I tyś na życia morzu widziała straszyla,
 I mnie wichur odpędził, z tobą zlałem skrzydła:

Po cóż te słowa mile, te zdradne nadzieje?
 Sama w niebezpieczeństwie — drugim stawisz sidła? —

Str. 107. w. 4. Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwiatem okryte, nadają przyjemną rozmaitość płaszczynom.

Str. 110. w. 3. Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęły te mury.

Diwy, podług starożytnej mitologii Persów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata za górą Kaf.

Str. 110. w. 5. Na szczycie jaka luna! pożar Carogrodu! —

Wierchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

Str. 110. w. 6. Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury.

Chylat, suknia honorowa, którą Sultán obdarza wielkich urzędników państwa.

Str. 110. w. 15. To Czatyrdah!

Najwyższa w pasmie gór Krymskich na brzegu południo-

wym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

Str. 111. BĄGCZYSARAJ.

W dolinie otoczonej ze wszech stron górami, leży miasto Bączysaraj, niegdyś stolica Girajów, Chanów Krymskich.

Str. 111. w. 8. I pisze Baltazara głoskami «ruina».

«Teżże godziny wyszły palce ręki człowieczej, które piisały przeciwko świecznikowi na ścianie pałacu królewskiego, «a Król (Baltazar) widział część ręki, która piisała.» Proroctwo Danielowe. V. 5.

Str. 111. w. 15. Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce.

Mesdzid lub Dżamid, tą to zwyczajne meczety. Zewnątrz, po rogach świątyni, wznoszą się cienkie, wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami — menare — zowią, są one w połowie swej wysokości otoczone galerją, szurfe, z której muezzinowie, czyli oznajmiciele, zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie, wyśpiewane z galerji, zowie się izanem. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszeć izan wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos muezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzkregu miast mużułmańskich, w których, z powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniejsza cichość panuje. Sękowski, Collectanea. T. I. str. 66.

Str. 112. w. 7. Jak szatny siedzące w dywanie Eblisa.

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyfer u Mahometanów.

Str. 112. w. 9. Budzi się błyskawica i pędem Farysa.

Farys, rycerz u Arabów Beduinów.

Str. 112. GRÓN POTOCKIEJ.

Niedaleko pałacu Chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospółstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanej Podróży po Krymie, Murawiew-Apostoł utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady i że grobowiec kryje zwłoki jakiejś Gruzinki. Nie wiemy, na czem opiera swoje mniemanie: bo zarzut, iż Tatarowie

w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potokich uprowadzać nie mogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd niemało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familje szlacheckie imienia Potockich i wspomniana branka niekoniecznie mogła należeć do możnego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był dostępny. Z powieści gminnej o grobowcu Bageczysarajskim, poeta rossyjski Aleksander Puszkina z właściwym sobie talentem napisał powieść: Fontanna Bageczysarajska.

Str. 113. MOKIŁY HAREMU.

W rokoszonym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru Chanów i Sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu: były one niegdyś bogato wybite; dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

Str. 113. w. 6. Nad niemi turban zimny błyszczy wśród ogrodu.

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawiają kamienne zawoje innego dla obu płci kształtu.

Str. 113. w. 8. Zostały dłonią Giaura wyrte imiona.

Giaur, poprawniej Kiafir, znaczy niewierny. Tak Muzułmanie nazywają chrześcian.

Str. 113. BAJDARY.

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

Str. 114. ALUSZTA W DZIEŃ.

Jedno z miejsc najrokoszniejszych Krymu. Tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

Str. 114. w. 2. rannym szumi namazem niwa złotokłosa.

Namaz, modlitwa muzulmańska, którą odprawiają, siedząc i bijąc pokłony.

Str. 114. w. 4. Jak z różańca Chalifów rubin i granaty.

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób z kosztownych bywa kamieni. — Granatowe

i morwowe drzewa, czerwieniejące się rokosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

Str. 115. w. 17. O minarecie światła o gór Padyszachu

Padyszach, tytuł Sultana tureckiego.

Str. 116. w. 2. Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu.

Zostawiam imię Gabryela, jako powszechniej znajome; ale właściwym strażnikiem niebios podług mitologii wschodniej jest Ramek — konstellacja Arcturus — jedna z dwóch wielkich gwiazd zwanych as semekein.

Str. 116. w. 16. Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewico.

Salhir, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdahu.

Str. 117. DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W DŻEHUD-KALE.

Miasteczko na wyniosłej skale: domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samem mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały, spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmierniej.

Str. 117. w. 2. Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.

Koń krymski w trudnych i niebezpiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności; nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i próbuje, czy bezpiecznie stąpić i ostać się może.

Str. 117. w. 16. To jest morze. Śród fali zda się, że ptak-góra.

Ptak-góra, znajomy z Tysiąca Nocy. Jest to sławny w mitologii perskiej, powielekroć od poetów wschodnich opisywany, ptak Simurg. «Wielki on — powiada Firdusi w Szah-Name — jak góra, a mocny jak twierdza; słońca unosi w szponach swoich,» i dalej: «ujrzawszy rycerzy — Simurg zerwał się jak chmura ze skały, na której mieszka i ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców.» Obacz Hammera: Geschichte der Redekünste Persiens. Wien 1858. str. 65.

Str. 118. w. 2. Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!

Z wierzchołka gór wyniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spojrzymy na chmury płynące ponad morzem, zdaje

się, że leżą na wodzie w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem z Czatyrdahu.

Str. 118. RUINY ZAMKU W BALAKŁAWIE.

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genuieńczycy wzniesli na tem miejscu twierdzę Cembala.

POWIASTKI I BAJKI.

Str. 124. w. 6. Siciński? i w Upicie? — Imię strasznej sławy!

Siciński, poseł Upicki na sejmie (roku 1652), pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawnem veto, przez co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiem zawichrzył. Jest podobnie: że, gdy wracał do domu okryty przekleństwem ziomków, na samym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włóczony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka.

WIERSZE RÓŻNE.

Str. 177. CZYN.

Czyn, w Rossji znaczy klasę albo rangę.

Str. 190. FARYS.

Jeździec. Jest to zaszczytne nazwanie u Arabów Beduinów, znaczące to samo co chevalier, rycerz, w wiekach średnich. — TADŻ-UL-FECHR, pod tem imieniem znany był na wschodzie Waclaw hr. Rzewuski: tadż znaczy wieniec, fechr sława.

Str. 190. w. 15. Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jak jutrenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strasznej grzywy pióra,
A nóg białych poletem błyskawico ciska.

Te cztery wiersze, zawierające opisanie konia, są tłumaczone z arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do Antologii Arabskiej pana de Lagrange.

Str. 190. w. 31. Czuje, krakał, zapach trupi.

Powszechny na Wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem mającym umrzeć. Jakoż za-

ledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy chociaż pierwej nie były widziane.

Str. 194. w. 4. Huragan, z afrykańskich pierwszy wicherzycieli.

Huragan. Jest to wyraz amerykański urikan i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich Semum, Serser, Asyf, i t. p. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznej, zasypującej niekiedy całe karawany. — Persowie nazywają go Girdebad.

Str. 195. SZANFARY.

Jeden z najślawniejszych przed Mahommedem rycerzy czyli farysów arabskich, wojownik i poeta; był z pokolenia Asd. Obrażony przez rycerzy z pokolenia Salaman wzywał swoich aby mu dopomogli zemścić się krzywdy. — Nie otrzymawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie i napisał niniejszą kasydę (powieść) wyrzucając rodakom ich zniewieściałość i niewdzięczność. Udał się sam na wojnę i poprzysiągł, póty nie złożyć oręża, póki nie zabije stu Farysów z pokolenia Salaman. Już był ich zabił 99, gdy wpadłszy w zasadzkę Salamanów, sam zginął. Głowa jego walala się w koczowisku i gdy jeden z Farysów trącił go nogą, tak mocno skaleczył się o kość czaszki, że wkrótce życie utracił i dopełnił liczby stu, zaprzysiężonej przez Szanfarego.

Tę kasydę tłumaczyłem z francuskiego, przekładu P. de Sacy. Później miałem sobie udzielone od N. Sękowskiego tłumaczenie polskie dosłowne, z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając z tej nowej pomocy starałem się tekst mego przekładu ile możności poprawić. Z komentarza P. Sękowskiego umieszczam kilka przypisów.

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!

W oryginale: Podnieście piersi wielbłądów. Wielbłądy kładą się na ziemi, zginając pod siebie nogi. Kiedy karawana ma ruszyć, człowiek siada na siodło i ciągnąc wodze, podnosi wielbłąda.

Brew malować, włos treść w kąpielu zapachów?

Arabowie nacierają powieki pewną farbą brunatną, zwaną kohl, co u nich za wielką poczytują ozdobę.

Czy mię kiedy noc zbląka, choć piaszczysta fala.

W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach. Beduini kładą w rzędzie celnych przymiotów rycerza, trafność jechania w dzień i w noc.

Zęby dzwonią jak strzały we wróżka prawicy.

Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni mekkańskiej strzały wyroczone zalum, z których rozmaitego mięszania wrózano o przyszłości.

Jak płaczące farysa małżonki lub córki.

Kiedy Arab zginie na wojnie, żony jego i krewne wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą i wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swego pokolenia, ażeby zemścili się jego zgonu.

Jeśli do studni jadę, lecący pęk strusi.

Woryginale jest tu mowa nie o strusiach, ale o ptastwie zwanem Katho, wielkości kruka. W poezji abrańskiej często znajdujemy wzmiankę o tem ptastwie przelatującym stadami pustynie Arabji. Farys powinien znać położenia źródeł w pustyni, ażeby wiedział, gdzie ma popasać.

Boleści podzieliły losem moje ciało.

Przenośnia wzięta z zwyczaju Arabów, którzy zabiwszy wielbłąda, losem ciągną, jaka część komu się dostanie.

Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?

Diw, znaczy duch, genjusz: wyraz polski dziw, zdaniem P. Sękowskiego pochodzi z perskiego i musiał dawniej też samo mieć znaczenie.

A włos mój brudu pełny, nieznający wody.

Szanfary przysięgł zemścić się na pokoleniu Salaman. Arab po takiej przysiędze nie umywa się, nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia odzieży i nie pije wina, dopóki zemście zadosyć nie uczyni.

Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada.

Woryginale: «myślały, że jestem z rodu kozłów.» Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, *Antilope rupicapra* (Chamois).

udał się do Egiptu, do przyjaciela swego, sułtana Abu-Szodża-Fatyk, którego gdy już przy życiu nie znalazł, opuścił Egipt i w podróży tę kasydę ułożył.

Str. 250. MORLACH.

«Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta.»

Rzeczpospolita wenecka zaciągała na żold swój wielką liczbę góralów Sławian.



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH



Drukiem F. A. Brockhauſa w Lipsku.

1993-01-22

1. 05. 1999

2009-09-03

2012-09-11

~~2012-09-25~~

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

21677